ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 226-83 i 152-05.

№ 1
WARSZAWA
DNIA 5 STYCZNIA 1913 R.

Ks. Józef Poniatowski.

Rok 1813 jest jednocześnie stopięćdziesiątą rocznicą urodzin księcia Józefa Poniatowskiego i setną jego bohaterskiej śmierci na polu chwały; postanowiliśmy też, rozpoczynający ten rok pamiątkowy, pierwszy numer naszego pisma poświęcić wielkiemu bohaterowi narodowemu. Na kartach „Złotego Rogu" przesuną się wspomnienia i impresje, napisane dla nas przez wybitnych pisarzy a także szereg portretów i wizerunków, mających związek z życiem wodza i człowieka.

Ks. Józef Poniatowski urodził się d. 7 maja 1763 roku, w Wiedniu, w pałacu Kińskich, jako syn Andrzeja Poniatowskiego, starosty ryckiego, generała, potem felcechmistrza wojsk austryjackich tudzież Teresy z hr. Kińskich, pochodzącej ze starej rodziny czeskiej. W rok potem rodzony stryj jego Stanisław August Poniatowski zostaje królem polskim, przez co rodzina cała zdobywa dziedziczny tytuł książęcy. Młody książę wychowywał się przy ojcu, którego traci jednak w dziesiątym roku życia. Sierotą zaopiekował się nader gorliwie stryj ukoronowany, co nie przeszkadzało, że ukochany synowiec pozostawał nadal w Wiedniu i wstąpił do wojska austryjackiego z zastrzeżeniem wszakże, że wróci do kraju na każde zawołanie opiekuna. Jakoż istotnie w roku 1789, kiedy, stosownie do uchwały Sejmu Wielkiego warszawskiego o armji stutysięcznej, zaczęli się zbiegać rodacy, oficerowie, służący u obcych, młody Poniatowski jeden z pierwszych stanął do ojczystego apelu, już wtedy, okryty chwałą wyprawy tureckiej 1788 r., drugi podpułkownik szwoleżerów cesarskich.



KS. JÓZEF PONIATOWSKI.
Rys. Grevedon. (Ze zbiorów H. Wildera). Lit. Delpech.

Odtąd zaczyna się wielka, ofiarna nieskazitelna służba dla Polski—służba przerywana, niestety, chwilami przez nieubłaganą konieczność, lecz nigdy zaiste przez brak gotowości poświęcenia jej wszystkich sił, wszystkiej krwi i całego swego jestestwa.

W tej mierze, książę Józef nie znał wahań i wątpliwości, choć niejednokrotnie okoliczności stawiały go w kolizjach prawdziwie tragicznych. Do takich tragicznych sytuacji w pierwszym rzędzie należał, stosunek jego do króla, opiekuna. Zasypywał on synowca dobrodziejstwami, skoro jednak, król ów, zdradzając sprawę Polski, przystał do Targowicy i chciał pociągnąć za sobą pupila, książę Józef, wtedy wódz naczelny armji, operującej nad Dniestrem i Dnieprem, oparł się temu stanowczo. Nie widząc dróg ratunku, wziął dymisję i wyjechał za granicę, kie-

dy wszakże wybuchło powstanie Kościuszki zjawił się natychmiast, ażeby walczyć pod Naczelnikiem bodaj, jak prosty żołnierz. Po upadku powstania a z niem Rzeczypospolitej. Nemezis dziejowa skazuje go na długą dziesięcioletnią bezczynność.

Przez lat dziesięć w słynnym pałacu „pod blachą" bawi się książę Pepi—hulaszczy młodzian, świetny kawaler, bożyszcze salonów, kochanek kobiet... Ale oto zagrzmiały odrodzeńczemi nadziejami zwycięskie surmy napoleońskie i powstał do czynu — rycerz — bohater narodowy. Idą kolejno pełne blasku i sławy dzieła rycerskie lat 1808, 1809, 1812 i wreszcie 1813.

W tym nieszczęsnym 1813 roku ginie książę Józef śmiercią walecznych w nurtach Elstery, po trzydniowej śmiertelnej bitwie pod Lipskiem d. 19 października, około południa.

RYCERZ BEZ SKAZY.

Może trudno dziś twierdzić stanowczo i z całą pewnością, że bohaterskiej postawie księcia Józefa Poniatowskiego i wojsk jego walecznych w krwawych bojach pod Lipskiem naród zawdzięcza późniejszą kreację Królestwa Kongresowego. Trudno zaiste niezawodnie i bezpośrednio wykazać, że to właśnie ofiarna moc krwi szlachetnej, tak obficie przelanej już tylko dla honoru imienia polskiego w owym nieszczęsnym 1813 roku na błotach Pleissy i Elstery, przedłużyła o lat piętnaście byt państwa z własnym rządem i własną armją — że rycerska gotowość wielkiego wodza, ginącego w nurtach dalekiej rzeki, była płodną w najbliższe dla narodu korzyści, obiatą.



Teresa z Kińskich Poniatowska, matka ks. Józefa.

Wielu historyków współczesnych zgadza się na to bez zastrzeżeń. Niewątpliwie. Krew przelana ofiarnie dla sprawy szlachetnej nie przepada na marne. Czy jednak jej tajemna moc twórcza miała się wyrazić tylko i wyłącznie w nietrwałym i niedoskonałym utworze kongresu z roku 1815? Utwór ten należy do przeszłości, a powoływanie się na traktaty wiedeńskie jest już dziś jeno bolesną ironją. Nie! Waleczność wojsk polskich pod Lipskiem i zgon tragiczny ich wodza w wodach Elstery posiada dla nas znaczenie stokroć trwalsze i donioślejsze. Dziś po stu latach, kiedy już nie potrzebujemy obliczać strat i korzyści bezpośrednich, heroiczne czyny, walczącego przy Wielkim Napoleonie, korpusu polskiego stają się jedną z najpiękniejszych naszych legend narodowych, a wódz naczelny, niezapomniany książę Józef Poniatowski, urasta na posągową postać bohatera, jako najdoskonalsze wcielenie patrjotycznego poświęcenia się i rycerskiego honoru. W tym charakterze jest on w wiecznych tradycjach narodu jego dumą i chwałą.



Andrzej Poniatowski, ojciec ks. Józefa.

Zapewne, ze stanowiska praktycznych obliczeń politycznych dyskutować można by bez końca i miary, czy ostateczna decyzja krakowska garści wojska polskiego wodza naczelnego, jak wogóle cały jego do Napoleona stosunek dla interesów Polski korzystny był lub zgubny. Poglądy w tej mierze, jak zresztą wszystkie nasze w sposobie oceny wydarzeń dziejowych, zapatrywania zależne są od osobistych naszych skłonności uczuciowych, a także od odziedziczonych szczególnych tradycji rodzinnych i stanowych, co nader znamienne skłonnościom tym nadaje zabarwienie. Z tego punktu wyjścia wielu ludzi dziś jeszcze niewątpliwie nie może wybaczyć księciu Józefowi Poniatowskiemu, że dajmy na to nie skłonił

się do ugodowej polityki Adama Czartoryskiego lub Antoniego Radziwiłła, lecz tak kategorycznie tak bezwzględnie związał losy Polski z losami Napoleona, tego, jak niektórzy wówczas twierdzili, awanturniczego parweniusza, zatapiającego świat w krwi potokach, dla własnych nienasyconych ambicji i własnego egoistycznego celu. Sporną zwłaszcza może być kwestja, czy rzeczywiście korzystnym politycznie dla Polaków był udział ich w jesiennej roku 1813 walce z Koalicją — kampanji, która po niefortunnem *armiscitium* w Poischwic, Napoleonowi tryumfów wielkich nie wróżyła i doprawdy, jak z paktów pragskich wnosić wypadało, nie o sprawę polską bynajmniej toczyć się miała.

Książę Józef lepiej niż kto inny wiedział o nastroju, panującym w sentymentach niektórych sprzymierzeńców wielkiego zdobywcy. Wiedział zwłaszcza o nastroju względem Napoleona sentymentów austrjackich i przeczuwał wybornie jak niemiłe teść zięciowi gotuje niespodzianki. Zaćmiewała się świetna gwiazda zwycięzcy z pod Austerlitzu. Szereg klęsk dotąd niebywałych w karjerze genialnego wojownika świadczył, że szczęście jego odmieniło się fatalnie. Mógł Poniatowski jak tylu innych wodzów, jak najbliżsi przyjaciele, jak największymi dobrodziejstwami obsypani krewni i powinowaci, odwrócić się od człowieka, od którego odwróciła się fortuna. Mógł to przedewszystkiem uczynić tam w Krakowie, kiedy w początkach Maja 1813 r. naglony ze wszech stron przez rodaków, nagabywany najponętniejszymi widokami od dworów, to Petersburskiego, to Berlińskiego, staczał ze sobą tragiczne walki, ażeby z niewypowiedzianie trudnej sytuacji wyjść z *honorem* i *wedle sumienia*. Za porzuceniem francuzów przemawiał przedewszystkiem własny najbliższy interes osobisty, a przytem, najbliższy zda się, najbardziej pewny i niezawodny wzgląd na sprawę ogólną. Tak przynajmniej przedstawiali położenie ludzie, w społeczeństwie najbardziej wybitni i najzacniejsi. On jednak po jednej nocy bezsennej, straszliwych wahań i wątpliwości, — po nocy rozterki najokropniejszej, kiedy dwakroć przykładał do skroni lufę pistoletu, ażeby go wybawił od nadmiernej udręki, niepokoju wewnętrznego — powziął determinację Napoleona nie odstępować.

„Determinacja ta wielka — pisze prof. Askenazy — jak przedtem mniejsza raszyńska, to była osobista, samorodna własność Poniatowskiego, nie wymędrkowana, ale wyczuta, wynikająca z samej głębi jego natury, z koniecznością nieodparta. z wewnętrzną koniecznością psychiczną, wyższą ponad wszelki nakaz okoliczności fizycznych. Jego piękna wysoka, a dotychczas nieraz chwiejna i pospolitująca się dusza, już w tym punkcie, dochodząc do swego szczytu i kresu, zgoła już oczyszczona od wszelkich lichszych przymieszek, jakby skoncentrowana, sklarowana pod ogromnem ciśnieniem dziejowem, sprowadzona do najprostszego, rdzennego swego pierwiastku, doszła tem samem do zupełnego, doskonałego utożsamienia się z pierwiastkiem rzeczy publicznej. I dla tego właśnie w tym instynktownym odruchu woli był nietylko honor i sumienie prywatnego człowieka, lecz była oraz prawda, była mądrość, był nieomylny imperatyw interesu i dobra publicznego. Rycerz bez skazy był czemś więcej jeszcze, stawał się najpierwszym w tej chwili obywatelem, który z powszechnej ruiny siły materjalnej, wynosił ocaloną siłę moralną, tę, koniec końcem, najwalniejszą, najrealniejszą potęgę.“



Mal. H. Vernet. **Śmierć Poniatowskiego.** (Ze zbiorów H. Wildera). Litogr. A. Ziegler.

I rzeczywiście. Gdyby Poniatowski, skuszony podszeptami otoczenia, złamał dane

Napoleonowi, słowo, gdyby odstąpił go, zdradził, oszukał, a obrawszy inną zbawienia drogę na barkach własnych wydźwignął Ojczyznę całą, świetną, tryumfującą, odbudowaną od podstaw, historja niewątpliwie przebaczyłaby mu mniej wybredne do celu tego wiodące środki. Sąd historji jest niezmiernie w tych razach względny i chętnie wielkim mężom przebacza nawet najpotworniejsze zbrodnie, jeżeli ostatecznym wynikiem ich będzie rzecz wielka. Dziś, sądząc z oddalenia perspektywicznego, śmiało twierdzić można, że w fatalnie powikłanym splocie przyczyn i skutków, jakie Polskę podawały na pastwę apetytów sąsiedzkich, wszelkie inne drogi, poza tą jedyną honoru i sumienia, prowadziłyby do zysków drobnych, miałkich, nikczemnych. Jeżeliby wódz naczelny, skromnych wówczas polskich sił zbrojnych, inną nie tę jedyną obrał drogę, wobec sądu potomnych ściągnąłby na siebie odium zdrady, czego by nie zdołała okupić, niestety, wielkość zdobyczy praktycznych.

Profesor Askenazy mówi wszakże, że „nietyle trzeźwa rachuba statystów polskich, ile całopalne postanowienie (nieopuszczania Napoleona) polskiego wodza rzuciło realną podwalinę pod Królestwo Kongresowe." Ale gdyby nawet nie wzgląd na ową podwalinę realną, bohaterska śmierć Poniatowskiego pod Lipskiem wznosi jeszcze wspaniały wiekuiście monument — gmach idealny, którego nie zmogą moce piekielne.

Wódz, który w poczuciu, że Bóg w ręce jego złożył honor polaków, honor ten nieskażony, czysty, promienny odniósł Bogu, ginąc w falach Elstery, nie zdobył drobnych, małych, przemijających dla narodu korzyści; ale spełnił dla niego rzecz wielką, jako rycerz bez skazy, jako czysty kapłan jego czci i wiary.

T. Jaroszyński.

W kościele Ś.-Krzyża w Warszawie
d. 19 Listopada 1813 roku.

Zanim jeszcze zgnębiona wiadomością o zgonie księcia Józefa pod Lipskiem, Polska, dowiedziała się o zezwoleniu cesarza Aleksandra I-go, danem w Paryżu d. 27 Czerwca 1814 i zamieszczonem w rozkazie dziennym Wielkiego księcia Konstantego, już podówczas Szefa wojska polskiego, by generał gubernator Saksonji, ks. Repnin wydał deputacji wojskowej polskiej zwłoki ks. Poniatowskiego, „w celu przewiezienia onych do Warszawy i złożenia tamże z wszelkimi honorami, jakie się należą urodzeniu, stopniowi i cnotom zmarłego Wodza Polaków;" (*Gaz. Warsz. Dod. do № 72 z r. 1814)*, już w miesiąc po katastrofie lipskiej, dnia 19 Listopada 1813 r. odbyło się w stolicy księstwa Warszawskiego uroczyste w kościele Ś-go Krzyża w Warszawie nabożeństwo żałobne za duszę bohatera.

Pamiątką po owej uroczystości jest obraz olejny, przez właścicieli jego, przyszłemu naszemu Muzeum miejskiemu darowany, obecnie w Sali Bersona w Towarzystwie Zachęty znajdujący się, z wyobrażeniem dekoracji w nawie głównej świątyni przez sławnego artystę-malarza Zygmunta Vogla obmyślonej, przedstawiającej portret księcia Józefa w otoczeniu sztandarów i emblematów wojskowych, artystycznie ugrupowanych.

Przystrajanie symboliczne świątyń po zgonie wybitniejszych mężów stanu, wojskowych i pisarzy polskich, niejednokrotnie przed rokiem 1830 w Warszawie się odby-



Ku upamiętnieniu bohaterskiej śmierci Poniatowskiego. (Ze zbiorów H. Wildera).



Symboliczny katafalk ks. Józefa w kościele Ś-go Krzyża.

wało, a zawsze do takich ornamentacji chętnej pomocy udzielał Vogel. Cześć taką okazano: Stanisławowi hr. Potockiemu, księciu generałowi ziem podolskich Czartoryskiemu, generałowi Mokronoskiemu, autorowi *Barbary* Aloizemu Felińskiemu, pierwszym zaś w szeregu czczonych w Narodzie mężów był ks. Józef.

Symboliczny jego katafalk z trumną, okrytym był płaszczem obozowym, ozdobionym znakami wojskowymi bohatera, poniżej ustawiono wizerunek księcia, jego buławę marszałkowską i sztandary w walkach zdobyte. Otaczały katafalk władze miejscowe, prefekt departamentu warszawskiego, generał gubernator księstwa, hrabia Łanskoj, senator Nowosilcow i cały w Warszawie konsystujący generalitet rosyjski: Borozdin, ks. Urusow, generał Arakczejew, komendant miasta Lewicki, znakomite damy i krewni poległego rycerza; książę Adam Czartoryski i hr. Alexandrowa Potocka. Mowę pogrzebową wygłosił w natchnionych słowach ks. Prażmowski. Tłum ludu zapełnił świątynię. Jednocześnie zaś i w świątyniach wszystkich innych wyznań odprawiały się nabożeństwa uroczyste.

Po upływie kilku miesięcy, w Czerwcu 1814 r. stał się kościół Ś-go Krzyża widownią nowego święta narodowego, gdy przed przewiezieniem zwłok ks. Józefa do grobów królewskich na Wawelu, wprowadzono je na czasowy wypoczynek do tegoż kościoła.

Al. Kraushar.

Książę Józef i kobiety.

SZKIC.

Zanim książę Józef stał się bohaterem narodowym, był bohaterem salonów i... alków. Zanim postawiła go na ołtarzu cała Polska, uczyniła to przysłowiowo „piękniejsza“ jej połowa. Pogański to był ołtarz, liczne wszakże rzesze do niego szły, pokłony wybijały, ofiary niosły.

Natychmiastowej, dorywczej sławy nikt nie tworzy tak szybko i tak skutecznie, jak kobieta. Wiedział o tem stary Goete, gdy każdemu, na Parnas wstępującemu zalecał „żyć w zgodzie z kobietą“. Mógł był podobno to zalecenie opatrzyć dopiskiem: *Experto crede Roberto...*

Aby na rękach kobiet noszonym być i wynoszonym, trzeba: albo wielbić je bez miary i służyć im, albo też tyranizować je i złorzeczeniami obrzucać. Kobiety w tym samym stopniu wzrusza i zniewala to i tamto. Jednego tylko nie znoszą i jednego nienawidzą: obojętności.

Książę Pepi obojętnym dla kobiet nie był. Owszem, odegrały one w jego życiu rolę wielką. Wielką, lecz nie ważną. A i wielką w znaczeniu głównie — ilościowem.

I do księcia Józefa przyczepić można banalną etykietę: „wielbiciel kobiet“. Ale to nie będzie ścisłe. Nie tyle książę był wielbicielem kobiet, ile kobiety wielbicielkami księcia. Anegdotyczna historja Warszawy stwierdza, że był czas, gdy „wszystkie piękne damy szalały za księciem“. Podobno bez pokrzywdzenia prawdy, można by dodać: i niepiękne...

Jaką drogą bratanek króla Stanisława doszedł do wyniku, dla ogółu mężczyzn tak bardzo ponętnego? Był-że kornym sługą rodu niewieściego, czy też jego tyranem?

Książę zajął między tymi krańcami stopień pośredni—bliższy był wszakże podobno



Odjazd ks. Poniatowskiego. (Podług współczesnej ryciny).

lewemu, niż prawemu biegunowi. Jeśli trudno powiedzieć o nim, że kobiety wielbił, to zupełnem już byłoby niepodobieństwem twierdzić, że je ubóstwiał. Wogóle nie dałby się tu wyśledzić najsłabszy odcień boskości — chyba tej, która ród swój wiedzie z Patos, z Cytery...

Ktoś rozpatrujący te sprawy przez bardzo ostrą soczewkę krytyczną powiedziałby, że książę w stosunku do kobiet ujawniał niezmiernie grzeczne, wymyślnie powabne i niesłychanie wytworne—lekceważenie.

Pierwsza młodość księcia przypadła na schyłek wieku osiemnastego. Była to pora miłostek, lecz nie miłości. Książę przesiąknął mimowoli atmosferą wieku oraz swego najbliższego otoczenia. Zmysłowcem się stał i sceptykiem, nabrał wogóle znamion kulturalnego poganina.

Zawiewały już i wówczas świeże tchnienia, zapowiadające zbliżanie się, w poezji i w życiu, romantycznego świtu. Karpiński grał już czule na fujarce ze swojskiej wierzby, do księcia wszakże ten głos nie trafiał. Duszę wojownika, który wyrosnąć miał na typowo romantycznego bohatera, kołysały naprzemian: fletnie faunów i trąbki wojennej kapeli.

Ten *jeune premier*, pożywszy jeszcze lat kilka, straciłby wszelkie prawa do swego tytułu — nie tyle dla wieku, co z tego powodu, że byłby typem, wycofanym z obiegu. Nazywanoby go *vieux beau*, albo *galant en retraite;* mawiano o nim: „Kochały się w nim nasze ciocie — może babcie...

W chwili gdy „Alcybjades z pod Blachy" znajdował się w pełnym lat męskich rozkwicie, na Zachodzie powstawał nowy typ amanta: kochanek romantyczny w stylu Lary, Czajld Harolda, Manfreda. Maluczko a zapanować on miał i w Polsce nad umysłami mężów, nad sercami niewiast.

Jako amant, książę w samą porę usunął się z widowni. Odszedł w krainę cieniów, jak tryumfator — podobny Jowiszowi, niknącemu w obłokach po ostatniem, odniesionem nad ziemianką zwycięstwie.

Listę swych podbojów serdecznych, nie krótszą pewnie od Don Żuanowej, zamknął urodziwy polski ułan zdobyciem serca Pauliny Borghese, pięknej siostry Napoleona. Nie broniły podobno tego serca mury tak krzepkie, jak pod Smoleńskiem — jednak prawo noszenia znaku księżnej na lewej piersi zyskiwali tylko wielcy tego świata, w pierwszym stojący szeregu.

Siostrzenica księcia „Anetka" Tyszkiewiczówna, późniejsza Aleksandrowa Potocka, która, mimochodem mówiąc, sama się w swym wuju podkochiwała—twierdzi, że on pozbawiony był całkowicie próżności. Dowiódł tego, odrzucając miłość, a więc i rękę księżniczki Augusty, córki księcia Warszawskiego, będącej zarazem królewną Saską.

Miłości nigdy nie obciążał książę celami ubocznymi, nigdy jej nie czynił szczeblem do karjery. Traktował też ją w sposób tak bardzo idylliczny i jowiszowo-pogański, że ani razu podobno nie pomyślał o uwieńczeniu jej hymenem.

Przesuwają się w życiu księcia kobiety, jak cienie. Wszystkich wymieniać nie sposób. Może kto ułoży kiedyś tę galerję, nazwiskami i portretami ją uwypukliwszy, ale, jakkolwiek ona się wydłuży, zupełną nie będzie.

Są w tej galerji przedstawicielki różnych klas społecznych: od księżniczek krwi aż do prostych mieszczek — i niżej jeszcze...

Tak, niżej. I właśnie to „niżej" jest pono najpoetyczniejsze — może nawet jedynie poetyczne!



„Ks. Poniatowska" dowiaduje się o śmierci swego „męża".
(Podług współczesnej ryciny).



Ks. Józef Poniatowski.
Podług sztychu Esbrarda. (Ze zbiorów H. Wildera).

Książę, niestrudzony poszukiwacz nie tylko pięknego ciała i form wytwornych, lecz także szlachetniejszego pierwiastku „wieczystej kobiecości“, spotkał raz prawie doskonałe jej wcielenie po za sferą salonów i saloników. Odgrzebał perłę jeśli nie na śmietniku to w każdym razie na bardzo nizkim padole życia warszawskiego. Odnalazł i osądził godną umieszczenia w djademie, który zdobiły wielkie i świetne brylanty.

Tradycja twierdzi, że zdobycie tej perły zwycięskiemu zwykle Adonisowi z nadzwyczajnym przyszło trudem. Tem cenniejszą ją to niewątpliwie uczyniło.

Skąd się wzięła owa dumniejsza od najdumniejszych amazonka, odważająca się opierać niezwyciężonemu?

Wójcicki opowiada o niej, że była córką właściciela gospody rybackiej, już któremuś z rybaków w chwili poznania przez księcia zaręczoną.

Kraszewski, może w celu wywołania większego artystycznego kontrastu, czyni ją... pomywaczką. Pod tym też tytułem pisze powieść, której ona jest bohaterką.

Uczucie, którego nie dostaje innym „romansom“ księcia, opromieniać miało ten tak niezwykły związek. Rozumie się, że i on nie trwał dłużej „niż dni motylka“... Pod tym względem książę był stale jeden i niepoprawny.

Opowiada Wiktor Hugo o jednym ze swych bohaterów, że prowadził zawsze, w tymże samym czasie, trzy miłostki. Jedna z nich była już na schyłku swego motylego żywota, druga rozkwitała w pełni, do trzeciej czyniły się dopiero przygotowania. Nie wiem czy tej zasady trzymał się i nasz książę—że miewał wszakże po dwie naraz kochanki, stwierdza to fakt, w anegdotycznej kronice Warszawy utrwalony.

Jedna z miłośnic księcia (kronika podaje nawet jej nazwisko... umitrowane) umyśliła raz w niezwykły sposób uczcić imieniny swego ulubieńca. Książę spędzał cały ten dzień w Warszawie, w hulaszczem gronie przyjaciół; późnym dopiero wieczorem powrócić miał do siebie, to jest, do pałacyku swego w Jabłonnie.

Dowiaduje się o tem dama, i przepłaca służącego księcia, aby na krótko przed powrotem pana, wpuścił ją do jego sypialni. Wpuszczona przebiera się... za nimfę i w bardzo lekkiej draperji staje w rogu pokoju na nizkim piedestale, z którego wpierw inną figurę usunięto.

Przyćmione światło nocnej lampy dopomagać miało mistyfikacji — oświeciło jednak niespodzianie zgoła inną, nieobjętą programem scenę...

Książę powrócił o północy—w towarzystwie innej damy (tu również nazwisko i... mitra).

Żywy posąg z piedestału zeskoczył, ale pod postacią już nie Nimfy, lecz — Furji.



Ks. Józef Poniatowski.
Lalka historyczna, wyk. przez p. F. Ż. G.
(Ze zbiorów Wiktora Gomulickiego).

„Nazajutrz cała Warszawa się śmiała“— zapisują jednobrzmiąco kronikarze.

Po tragicznym zgonie księcia ukazały się w Paryżu dwie okolicznościowe litografje, z których jedna przedstawia go, żegnającego się z *żoną* i synkiem przed wyruszeniem na wojnę, druga zaś: *księżnę Poniatowską*, otrzymującą wiadomość o śmierci *męża*. Te dwie sceny nie są wymysłem czystej fantazji, za jaki zwykle je poczytują...

Jakkolwiek książę w chwili śmierci nie był prawnie i kościelnie żonaty — mieszkała wszakże wówczas w Warszawie kobieta, mająca prawo nazywać go mężem i chował się przy niej chłopczyk trzyletni, wołający na księcia „tatusiu!“...

Tą kobietą była piękna pani Czosnowska, siostra adjutanta księcia, Potockiego.

Wiktor Gomulicki.

ROK UBIEGŁY.

Żyjemy wśród nieustannej zmiany wrażeń, wiadomości, któremi karmi nas prasa codzienna, różnorodnością swoją, tworząc pewien chaos, nie pozwalający nam ściślej wyodrębnić z niego, bliżej nas obchodzących spraw, ułożyć je w jakikolwiek systemat, wyprowadzić syntezę naszych usiłowań w różnych kierunkach.

A jednak w życiu społeczeństw i to nietylko postawionych w tak trudnych warunkach jak nasze, ale rozwijających się normalnie, bez przeszkód zewnętrznych, koniecznością jest dokładne zdawanie sobie sprawy z postępów intensywnej pracy kulturalnej.

Obrachunek dokonywany w perjodycznych odstępach czasu, dopomaga do ocenienia sił i środków, do sprawdzenia w jakim kierunku bieg społecznego życia płynie wartkim prądem— a gdzie się zatrzymuje i zamiera.

Z pewną dumą zaznaczyć możemy, że rok ubiegły 1912 pomnożył znacznie dorobek ekonomiczny; nawet nieraz zbyt brutalnie głoszone hasła ostatniej doby, doprowadziły do wielu praktycznych rezultatów. Rewizja stosunków handlowych, rozpatrzenie zaniedbanych przez miejscowy żywioł, a opanowanych przez obcych—placówek, doprowadzić może do racjonalniejszego niż dotąd wyzyskiwania źródeł zarobkowych.

Praca oświatowa, która z powodu przeszkód musi sobie wyszukiwać dróg pośrednich, dla osiągnięcia swoich celów, posuwała się zwolna ale stale, znajdując coraz podatniejszy grunt w szerokich masach.

Możemy zauważyć bardzo wybitny rozwój rolnictwa tak w większej jak mniejszej własności; umiejętność gospodarowania szerzona przez owocną działalność C. T. R. za pomocą pokazów, odczytów i kursów specjalnych, coraz szybsze czyni postępy. Ilość kółek rolniczych nie wiele przekroczyła liczbę 700—co w porównaniu z 1600 kółkami tego typu w Galicji, jest niewielką cyfrą—w Królestwie jednak wydają się nam one więcej celowo i praktycznie prowadzone.

Sto kilkanaście kółek rolniczych im. Staszica węższym strumykiem niż C. T. R. żłobią sobie jednak wytrwale drogę, opierając swój rozwój na budzącej się coraz żywszej samodzielności chłopskiej.

Świadczy o niej także szybki wzrost spółek mleczarskich i maślarskich, powostają one z dnia na dzień i związek spółek chłopskich o 1000 mleczarniach udziałowych zjednoczonych, jaki widzimy w Danji, nie zdaje się już należeć do zbyt dalekiej przyszłości. Znakomitem podparciem ruchu gospodarczego są zakładane coraz liczniej szkoły fachowe dla synów i córek włościańskich, do istniejących już od lat kilku przybywają obecnie dla dziewcząt: kursy całoroczne w Nieszkowie w Krakowskiem i w Krasieninie, w Lubelskiem, dla chłopców: w Wałach na Kujawach, w Krzyżewie w Łomżyńskiem i w Bratnem pod Ciechanowem.

Brak szeroko rozpowszechnionej oświaty, niedostateczna liczba szkół początkowych — to kamienie na drodze do kulturalnego rozwoju; z prawdziwem też zadowoleniem zanotować możemy cały szereg ruchów gminnych w różnych stronach kraju, co do budowy szkół wiejskich. Niektóre z nich mają być jedno lub dwu oddzia-

łowe, są jednak gminy, które uchwaliły budować szkoły 6-cio oddziałowe—tu także wyraźnie występuje objaw budzącej się samopomocy u naszego ludu.

Kooperatywa znajduje coraz podatniejszy grunt do rozwoju, z powodów jednak wyżej wymienionego braku oświaty i fachowego uzdolnienia, szwankuje pod wielu względami. Instytucje kredytowe zamało uwzględniają i wspomagają pracę wytwórczą, spożywcze upadają często dla braku dostatecznie wyszkolonych funkcjonarjuszów. Z zadowoleniem witamy inicjatywę C. T. R. stworzenia kursów dla pracowników do sklepów kooperatywy spożywczej.

Podstawą jednak całej akcji byłoby dopiero tworzenie hurtowni różnego typu po miastach prowincjonalnych, ażeby wyzwoliły nam handel od kosztownego i niesumiennego pośrednictwa.

Prócz wielkiej, warszawskiej doskonale prosperującej hurtowni, która nabyła już nawet plac pod budowę własnego domu, powstały w ostatnich czasach hurtownie spożywcze w Płocku i Włocławku.

Organizują się też nasi rzemieślnicy. Zjazd szewców miał to doniosłe znaczenie, że założoną została pierwsza chrześcijańska hurtownia skór szewckich, pracownicy w wyrobach futrzanych wyzwalają się też od pośrednictwa żydowskiego i zakładają własną hurtownię.

Powstają kooperatywy rzemieślnicze: piekarska i murarska, malarska zaś upadła wskutek nieporozumień w zarządzie.

Zjazd rzemieślniczy w Łodzi zaznaczył się uchwałami: 1) poprawy bytu rzemieślników, 2) kształcenia terminatorów, 3) zabezpieczenia starości pracowników, 4) unormowania godzin pracy.

Do niedawna jeszcze, bardzo zaniedbane wykształcenie fachowe ludności fizycznie pracującej zaczyna wchodzić na lepsze tory.

Ofiarnością prywatną zostały w ciągu ub. r. założone warsztaty rzemieślniczo wychowawcze dla chłopców, mające za zadanie przygotowywanie pożytecznych pracowników z opuszczonych dzieci miejskich.

Do istniejącej już szkoły podobnego typu imienia Szlenkierów, przybywa obecnie wzorowana na najlepszych zakładach zagranicznych, szkoła rzemieślnicza Tow. tramwajów warszawskich.

Wychowanie dzieci pracowników tego przedsiębiorstwa prowadzone jest rozumnie i celowo;—pierwsze dzieciństwo spędzają w ochronkach zostających pod kierunkiem p. Marji Weryho-Radziwiłłowiczowej—stamtąd przechodzą do szkoły fachowej, w której do lat 16-tu kształcić się mają.

Dla robotników fabrycznych, bezmyślnej dotąd siły roboczej, narzędzia w rękach obcych przybyszów przeważnie, utworzone zostały kursy wieczorne przy szkole Wawelberga, staraniem inżyniera Kondratowicza.

Niejednokrotnie ubolewaliśmy nad małą przedsiębiorczością naszych księgarni, które nie potrafiły dotąd zorganizować kolportażu na prowincji, coby stać się mogło potężną dźwignią w szerzeniu czytelnictwa, z pociechą więc zaznaczyć możemy, że 40 tomowe biblioteczki wypożyczane i rozsyłane przez jeden z oddziałów Kultury, zyskały takie powodzenie, że dziś rozchodzi się już po wsiach i miasteczkach 8000 książek.

Palący brak burs dla synów włościańskich w miastach, zdaje się zwracać uwagę, w Lublinie zakładają instytucję tego typu im. Prusa, a w Warszawie powstaje bursa dla synów pracowników rolnych.

Daleko nam jeszcze jednak do tak szeroko pomyślanych instytucji jakie ma Galicja w tym zakresie. Lwowska bursa Grunwaldzka i zakład w Tarnopolu — to wspaniałe gmachy zaopatrzone we wszelkie kulturalne urządzenia z internatem doskonale prowadzonym pod względem wychowawczym.

Dla córek i żon robotniczych pomyślano w Warszawie o szkole gospodarczej, w której nabierać one będą wiadomości praktycznych w zakresie racjonalnego utrzymania domu i rozporządzania korzystnie dla rodziny, skromnymi funduszami. Szkoła ta, która wpłynąć może na polepszenie zdrowia i wzmocnienie sił młodych pokoleń robotniczych, powstała z inicjatywy ks. Godlewskiego.

Tow. popierania przemysłu ludowego, które usiłuje zatrzymać pracowników rolnych w kraju, przez stworzenie im dodatkowego dochodu, podparte zostało w tym roku hojnym darem p. Kierbedziowej; umożliwi on postawienie gmachu na pomieszczenie biur, składów i sklepów towarzystwa i może przyczynić się do ugruntowania i pozyskania rynków zbytu dla swojskich wyrobów ludowych. Taż sama ofiarodawczyni buduje wspaniały gmach dla biblioteki publicznej, a hr. Krasiński sprzedaje dobra swoje, Radziejowice, żeby uzyskać fundusz na wzniesienie pałacu na zbiory rodzinne i oddanie ich na użytek publiczny.

Biedna, tułająca się nauka polska, zyskuje coraz pewniejsze warunki rozwoju, dzięki samopomocy społeczeństwa. Z bezprzykładnym pośpiechem napływają dary i składki na Towarzystwo Naukowe, tworzą się pracownie specjalne, ogłaszane są konkursy na prace i studja; instytucja rośnie i potężnieje, nietylko dzięki darom możnych tego świata. Składają ciężko uciułane grosze i skromni pracownicy różnego typu; w ciągu ub. r. 78,000 rb. wpłynęło do kasy Tow. Naukowego, jak wykazuje roczne sprawozdanie. Nie zaliczonym był jednak jeszcze dar 20,000 rb. wniesiony przez wychowańców b. Szkoły Głównej — osiwieli już dziś działacze i pracownicy z ostatniego pięćdziesięciolecia, pozostali wierni głoszonemu w niezapomnianej uczelni ideałowi: zdobywania lepszej przyszłości dla narodu przez wytężoną pracę organiczną.

Pięknie też wyraził głęboką myśl dr. Pawiński, składając 10,000 rb.—zarobione zawodową pracą, Tow. Naukowemu.

„Fundusz powstały z ludzkiej niedoli i cierpienia, nie może służyć pomnożeniu przyjemności życiowych—powinien iść na podniesienie sił duchowych ojczyzny".

Jakże często nasi zbogaceni fachowcy, za-

pominają o tem, wyrzucając ciężko zdobyty pieniądz na marne używanie.

W tem krótkiem streszczeniu nie możemy pomieścić wszystkich objawów żywotności społecznej—te jednak, które zdołaliśmy zanotować, służyć już mogą „ku pokrzepieniu serc".

Nie możemy też pominąć tych ludzi, co usuwając się w cień śmierci, ostatnią myślą zwracali się do społeczeństwa, przekazując mu zebrane nieraz ciężkim wysiłkiem fundusze.

Testament Meyeta nie uzyskał w pierwotnej formie zatwierdzenia, przejmie go jednak Tow. pop. Prz. i Handlu i, po pewnych uzupełnieniach, stanie się wykonawcą woli tego, co pragnął rozszerzyć oświatę w najuboższych warstwach ludności Warszawy. Ś. p. Dr. Hasewicz, łożąc przez całe życie na popieranie polskości na kresach, przeznaczył cały swój majątek przed śmiercią na szkolnictwo Ks. Cieszyńskiego— polecając tylko głównemu legatarjuszowi wypłacić pomniejsze sumy na cele oświatowe w Królestwie, Galicji i Poznańskiem.

Ś. p. Jerzmanowski stworzył w Krakowie pierwszą u nas fundację, na wzór Nobla, która nagradzać będzie w całej Polsce nietylko prace literackie i naukowe ale i czyny społeczne.

Senator Maleszewski, polak, który osiągnął wysoki stopień w karjerze urzędniczej w Petersburgu, nabyty tam majątek przekazuje cały Akademji Umiejętności w Krakowie.

Długo leżąca odłogiem olbrzymia fundacja Suchodolskiego w Lubelskiem, zaczyna dawać znaki życia, bodaj tylko umiejętnym zarządem potrafiła stworzyć instytucję prawdziwie kulturalną i zwyciężając piętrzące się przeszkody nie pomnożyła martwych zapisów: Staszica, Brzostowskiego, Młockiego i innych.

Z konieczności mówimy tylko o wielkich sumach— jakąż jednak wartość etyczną mają te ofiary składane przez sterane pracą nauczycielki, te upamiętnienia przez niepocieszonych rodziców zmarłych dzieci, przez dary na cele ogólne.

Jakie wielkie ma znaczenie to pociągnięcie szerokich mas do ofiarności, przez skromne datki za pomocą spopularyzowanego już dziś kwiatka—jakim wprost wspaniałym objawem jest składanie 100 rublowych udziałów przez włościan na własny dom ludowy w Warszawie.

Pragną mieć w stolicy kraju, ognisko kulturalne, wzorem zachodnich, słowiańskich pobratymców, w którem by się zbiegały rozproszone po kraju promienie.

Pomimo wszystko—życie nasze pogłębia się i rozszerza, wzrastająca powoli lecz stale demokratyzacja oświaty i samowiedzy obywatelskiej, powołuje coraz więcej ludzi do pracy i wzmaga siły narodu.

Żyjemy więc — i żyć musimy.

J. W. Kosmowska.

Nagrody Nobla na r. 1912.

Szwedzka Akademja Umiejętności przyznała już wszystkie nagrody olbrzymiej fundacji Nobla na rok 1912. Jedynie tylko nagrody pokoju nie przyznano nikomu, choć dochodziły wersje, że nagroda ta miała być przyznana... cesarzowi Wilhelmowi II. Jak kto chce, może byłaby to ironja losu, dziwny zbieg nieprzewidzianych okoliczności... jednem słowem takie rozdysponowanie nagrodą pokoju nasuwałoby zapewne różne i najprzeróżniejsze myśli i najróżniejszy sąd—o sędziach.

Teraz chodzą znów słuchy, że jakoby nagrodę pokoju otrzyma w 1913 r. cesarz Franciszek Józef. W każdym razie raczej ten sędziwy monarcha może być kandydatem do nagrody pokoju, niż wsparty o las bagnetów wojowniczy pruski władca.

Ale wracajmy do laureatów.

Nagrodę fizyki otrzymał inżynier Gustaw Dalèn w Sztokholmie, ur. 1869. Dał się poznać jako wynalazca nowego systemu oświetlenia acetylenowego, które zyskuje już coraz szersze zastosowanie. Kanał Panamski, również, ma być oświetlony systemem Dalèna.

Nagrodę chemji otrzymali tym razem łącznie dwaj francuscy uczeni: Paweł Sebatier, profesor uniwersytetu w Tuluzie i Franciszek Grignard, profesor uniwersytetu w Nancy. Sebatier urodził się w 1854 r. Ogłosił drukiem z górą 300 rozpraw, z których wiele było nagrodzonych przez różne akademje lub na konkursach. Ważniejsze jego odkrycia odnoszą się do hydro-


Prof. dr. A. Carrel (Medycyna).


Prof. P. Sebatier. (Chemja).


Gerard Hauptman. (Literatura).


Prof. F. Gringnard. (Chemja).


Inż. G. Dalèn. (Fizyka).

Laureaci nagrody Nobla [na rok 1912.]

genacji i antyhydrogenacji, zabarwienia ciał, tworzenia się nafty i t. p. Franciszek Grignard urodził się w r. 1871. Zyskał sławę za prace i odkrycia w dziedzinie połączeń magnetycznych.

Nagrodę lekarską otrzymał profesor dr. Aleksy Carrel, ur. w r. 1873. który zyskał rozgłos wszechświatowy, dzięki swym odkryciom w instytucie Rockefellera w New-Yorku. Odkrycia Carrel'a polegają na flancowaniu kawałków ciała w ten sposób, że przenoszone na inne ciało rosną, żyją i rozwijają się, toż samo dzieje się i przy wycięciu n. prz. kawałków ciała z różnych gatunków stworzeń i przeniesieniu ich na inne stworzenia, jak z indyków na króliki i t. p. Odkrycie to będzie miało nieocenioną wartość dla chirurgji.

Nagroda literatury przypadła w udziale znakomitemu poecie Gerardowi Hauptmanowi w pięćdziesiątym roku jego urodzin. Statut nagród Nobla opiewa, że nagroda literacka winna być przyznana za najwybitniejsze dzieło o najszczytniejszych aspiracjach. Sędziowie jednak specjalnie nie wyróżnili żadnego dzieła Hauptmana, przyznali bowiem, że wszystkie jego dzieła odpowiadają warunkom zastrzeżonym do nagrody.

Skriba.

„Megaë”.

Młody, wielce utalentowany polski kompozytor, Adam Wieniawski, bratanek zasłużonych na niwie artystycznej twórców: Henryka i niedawno zgasłych Józefa i Juljana, wystawił świeżo w Teatrze Wielkim operę Megaë, treść której osnuta jest na starych, legendowych podaniach Japonji.

U stoków wulkanicznych gór Japonji, niedaleko świątyni bożka miłości Kvanona, mieszkała stara wiedźma z uroczą córką Megaë. Stara podejmowała u siebie pielgrzymów śpieszących do świątyni, sprzedawała im wdzięki młodocianej córki a dając w końcu w napojach środki nasenne, ograbiała co bogatszych i mordowała we śnie. Pewnego dnia zawitał do chaty młody, wytworny, bogaty rycerz. Stara, jak zwykle, postanowiła go również zgładzić, atoli na przeszkodzie w wykonaniu ohydnego zamiaru stanęła Megaë, roz-



Adam Wieniawski,
kompozytor opery „Megaë".

kochana w rycerzu, przypłaciła to jednak życiem w śmiertelnej walce z matką.

Opera wywiera silne wrażenie, a choć nieraz przebija jeszcze brak doświadczenia młodego kompozytora w nawiązaniu akcji z układem muzycznym, co nawet czasami może nużyć słuchacza, jednakże tyle tam jest pereł szczerego indywidualnego talentu, taka szlachetna melodja i tak silny wyraz, że zapomina się o tych drugorzędnych brakach, gdy pierwszorzędne przymioty przedewszystkiem pozostawiają niezatarte wrażenie.

Świetną Megaë, była żona kompozytora, znakomita śpiewaczka, Marja Wieniawska, którą nieraz słyszeliśmy również i z estrady Filharmonji, dzięki dbałemu zawsze o dobór i świetność programu zarządowi orkiestry filharmonicznej.

P. Dygas po mistrzowsku wykonał rolę Rycerza. Orkiestra pod batutą p. Ciminiego stała na wysokości swego zadania.

Z.

Teatr Mały.

Pani Emma Dmochowska Jeleńska, ceniona wysoce powieściopisarka, autorka nagrodzonej ongi na konkursie „Kurjera Codziennego“ „Panienki“--utworu bardzo istotnie pięknego, wystąpiła obecnie z płodem swej twórczości scenicznej. Teatr Mały wystawił mianowicie jej „Krzywdę“, sztukę trzyaktową o treści głębokiej i szlachetnej tendencji, ale podaną nieco zbyt melodramatycznie.

Ostatecznie melodramat bywa niekiedy bardzo miłym, posiadającym wszelkie racje bytu, rodzajem teatralnym, tu jednak do melodramatyczności można mieć o tyle pretensje, że najniepotrzebniej psuje ona doskonały materjał na zgoła poważną komedję obyczajową w dobrym stylu. Istotnie kolizja matki-panny z córką, mającą kwalifikacje towarzyskie dzieci dobrze urodzonych — kolizja taka właśnie, jak jest przedstawiona w akcie trzecim, jeno bez wizji samobójczych i rzeczywistego samobójstwa na scenie tworzyła by wcale dobrą komedję *rosse*, lub nawet marny dramacik nastrojowy, bo ma motywy świeże, oryginalne a prawdziwe. Melodramatyczny efekt z hakiem, nawiasem mówiąc w dość szczególny sposób sterczącym na ścianie przez lat osiemnaście, tudzież z wizją kobiety powieszonej, ciągnącej



Emma Jeleńska
autorka „Krzywdy".

na ów hak bohaterkę dramatu, nastrój iście dramatyczny obniża i karykaturalnie przeczernia.

Bardzo mile przedstawiła się w sztuce panna Pola Negri. Młodziutka artystka posiada w swoim talencie wiele wdzięcznej rodzajowości. Z powodzeniem bohaterkę dramatu grała p. R. Bończa.

Wymienić jeszcze należy panie: Jakubowską, Wierzejską, Daniłowicz, Załuską i Norwidównę, oraz pp. Neubelta, Szarskiego i Święściaka. *Alfa.*

Życzymy Sz. przyjaciołom „Złotego Rogu“ szczęśliwego 1913 roku!

ZE SZTUKI.

Dla artystów plastyków odkrywa się nowe pole zbytu prac. Dochodzi do nas wiadomość, że grono malarzy zwróciło się do Zarządu ruchliwego — acz młodego jeszcze salonu artystycznego „Sztuka“ (N.-Świat 22) z propozycją zorganizowania „Wystawy Niezależnych“, która w końcu stycznia 1913 r. będzie urządzona w specjalnie ad hoc wynajętym lokalu. Jednocześnie zarząd salonu upoważniony jest do zbierania od artystów ofiar w postaci czy to obrazów, czy szkiców na schronisko dla artystów plastyków. Utworzona zostanie galerja z tych ofiar—po sprzedaniu których całkowita suma wpłynie na schronisko. Jednocześnie część dochodu z wejść na wystawie „Niezależnych“, zarząd „Sztuki“ na ten sam cel przeznacza. Z dotychczasowej działalności tego salonu widzimy, że stoi on nie tylko na wyżynie prawdziwie artystycznej lecz i społecznej. *Z.*



Teatr „Miniatur“. (Fotogr. W. Orłowski.) „Szopka“ Teof. Lenartowicza.

TEATR MINIATUR.

Do najpiękniejszych poetycznych utworow, osnutych na tle ludowych jasełek, należy Teofila Lenartowicza „Szopka“ z pietyzmem wystawiona po raz pierwszy na scenie teatru miniatur, pod kierunkiem i w inscenizacji p. Marjana Dienstla. Lenartowicz, podobnie jak i Konopnicka, Or-Ot i Rydel nie poprzestał na poetycznem opracowaniu liturgicznych scen, lecz stworzył mały panteon narodowy, wprowadzając figury historycznej Polski do t.zw. szopki polskiej.

Czuwającym pod stopami Wawelu pasterzom ukazuje się gwiazda betlejemska i ta polska mgławiczna w której blasku przesuwają się niby widma, wielkie duchy świetlanej przeszłości a więc Lech, Piast, Bolesław Śmiały, Kochanowski i cały poczet tych znanych sercu polskiemu postaci. Połączenie dwu światów na scenie wizji i rzeczywistości, połączenie akcji figur szopki z żywą akcją na scenie jest charakterystyczną i ciekawą niezmiernie cechą i zaletą lirnika nad lirnikami.

Sposób wystawienia „Szopki“ w teatrze miniatur był nawskroś oryginalny i artystyczny. Użycie proscenium do intermedji, zastosowanie półokrągłego horyzontu, bez kulis i sufitów, umiejętne operowanie świetlnymi nastrojami, i rekonstrukcję oryginalnej szopki krakowskiej z zachowaniem motywów ludowych świadczyło dobitnie o artystycznych intencjach p. M. Dienstla. Figury przedstawiające osoby Polski historycznej wykonał młody utalentowany artysta malarz p. Tadeusz Mędrecki.

Z sił wokalnych, biorących udział w przedstawieniu Szopki wyróżniła się p. Dąbrowska poprawnem i pięknem opracowaniem trudnego do wygłaszania wiersza Lenartowicza. Z artystów p. Fortwill i Wacławski stali na wysokości zadania. Ilustrację muzyczną i chóry prowadził znany muzyk p. Adam Elertowicz.

K. S.



Echa gwiazdkowe. W zakładach dobroczynnych w Warszawie urządzono szereg „gwiazdek“. Oto jedna z nich w ochronie im. Staszica Tow. opieki nad dziećmi. Choinka — dziatwa — i opiekunowie. (Fotogr. W. Orłowski.)

W tym miesiącu nastąpi rozlosowanie pierwszych czterech obrazów.



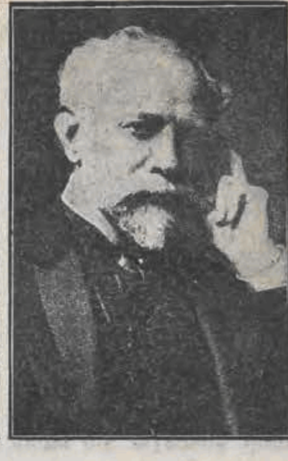
Hr. Mengsdorf-Pouilly.
Austro-Węgry.



Hr. Bekendorf.
Rosja.



Markiz Imperiali.
Włochy.



Paweł Cambon.
Francja.

Ambasadorowie państw, biorący udział w obradach w Londynie. (8 podobizn).



Ks. Lichnowsky.
Niemcy.



C. G. Mano.
Rumunja.



† Whitelaw Reid.
St. Zjedn. (zm. w trakcie obrad).



Edward Grey.
Anglja.

Miecz i dyplomacja.

Nowy rok przynosi dyplomacji stare kłopoty. Nadzieja szybkiego zawarcia pokoju pomiędzy Turcją a państwami bałkańskiemi zawiodła. I nie mogło być inaczej. Turcja już od stu lat straciła rację bytu w Europie a jednak trzymała się—jedynie dlatego, że mocarstwa europejskie nie mogły dojść do porozumienia co do spadku po tym „chorym, dogorywającym człowieku.“ Kierownicy państwa tureckiego doszli do takiej wprawy w podtrzymywaniu owej niemożliwości porozumienia, że stali się w tym zakresie istnymi mistrzami. I dziś mistrzowstwo to utrudnia zawarcie pokoju, a zarazem przedłuża byt Turcji, kto wie nawet, czy nie przedłuży go na lata całe.

Gdy przyszło do omawiania warunków pokoju, przedstawiciele tureccy jak gdyby zapomnieli o tem, czego dokonał miecz państw związkowych bałkańskich — i stanęli na tym punkcie, który stał się przyczyną i początkiem wojny.

— Przed rozpoczęciem kroków wojennych — mówią delegaci tureccy do delegatów państw bałkańskich,—żądaliście wprowadzenia reform na półwyspie bałkańskim w dzielnicach pod panowaniem Turcji pozostających. Dobrze więc; zgadzamy się na te reformy, i damy żądane gwarancje ich przeprowadzenia. Najpierw więc: Macedonja, w myśl owych żądań, może być przekształcona w oddzielne księstwo, pod zwierzchnictwem sułtana, a pod rządami gubernatora, czy księcia, przedstawionego przez mocarstwa, wybranego przez państwa bałkańskie a zatwierdzonego przez sułtana.

Co do Albanji — mówią dalej przedstawiciele Turcji — ta ma pozostać pod faktycznem zwierzchnictwem sułtana, jako państwo autonomiczne, rządzone przez księcia z rodziny sułtańskiej, bliższej lub dalszej, wybieranego na pięć lat, z prawem ponownego wyboru. A dalej: wyspy na morzu Egiejskiem pozostaną przy Turcji. Jedynie tylko co do Krety—zadecydują mocarstwa.

Tak przedstawiają się wytyczne linje warunków, zaproponowanych na konferencji pokojowej przez Turcję. Przyjęcie ich znaczyłoby przekreślenie wszystkich zwycięstw odniesionych przez państwa bałkańskie, wszystkich wysiłków, poniesionych przedewszystkiem przez Bułgarję i Serbję.

Naturalnie, takie propozycje niemożliwe były do przyjęcia, więc też pełnomocnicy bałkańscy wręcz oświadczyli, że nie uważają ich nawet za podstawę do możliwych obrad. Turcy pozornie zdziwieni byli tą odpowiedzią. Pozornie... wiedzą

Do niniejszego numeru dołącza się, jako dodatek, portret Ks. Józefa Poniatowskiego, odbity na kredowym papierze.

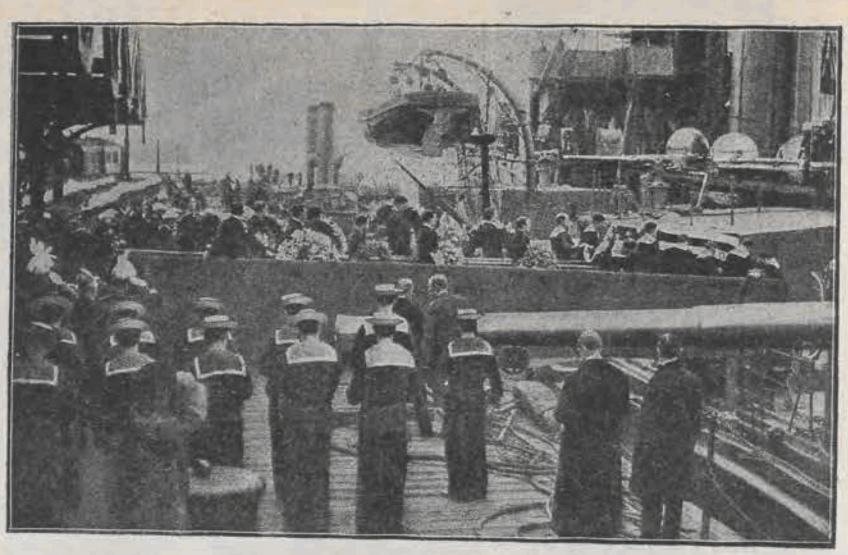
oni dobrze, że odpowiedź inaczej wypaść nie mogła. Ale im nie szło wcale o taką lub inną odpowiedź. Chcieli rzucić kość nieporozumienia pomiędzy mocarstwa; podjęli w dalszym ciągu tę grę, jaką przez całe stulecie ubiegłe prowadzili.

I nie można im odmówić zręczności. Cóż ryzykują? W najgorszym razie zerwanie rokowań i dalszą wojnę. Ale ta dalsza wojna, choćby nawet dla Turcji znaczyła się samemi tylko klęskami, już nie pogorszy jej położenia. Państwa bałkańskie, nawet w razie największego zwycięstwa, nie mogą żądać więcej nad to, czego żądają: usunięcia Turcji z Europy aż po linję Czataldży, to jest niemal do samych przedmieść Konstantynopola. O zajęciu tego miasta nawet mowy być nie może; na to nie pozwolą państwa europejskie.

Wznowienie wojny może zmusić Europę do interwencji, do pośrednictwa. A przecież od Europy Turcja może w każdym razie spodziewać się większej względności, niż od państw bałkańskich.

Konferencja ambasadorów trwa w dalszym ciągu w Londynie. Na nią to spada zadanie, aby stanowisko, zajęte przez Turcję, nie stało się powodem do zawieruchy europejskiej. Dlatego też ogólna uwaga zwraca się nie ku rokowaniom pokojowym, nie rokującym wcale pokoju, ani ku półwyspowi Bałkańskiemu, gdzie już poczyniono kroki ku dalszemu ciągowi wojny, — ale na narady ambasadorów europejskich. W ich ręku, jak w fałdach togi senatorów rzymskich, leży pokój lub wojna.

h. m.



Eksportacja zwłok, na okręt, zmarłego w Londynie podczas obrad ambasadora Stanów Zjednoczonych Whitelawa Reida.

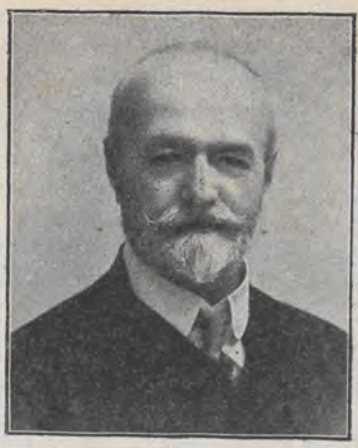


Wstrząsające zdjęcie fotograficzne, dokonane podczas bitwy Greków z Turkami około jeziora pod Jeneidą.



Niewolnicy tureccy, strzeżeni przez żołnierzy greckich niedaleko Janiny.

Ś. p. Wincenty Dworzyński.



Ś. p. inż. Wincenty Dworzyński, prezes „Pogot. opiek. dla dzieci".

W 58 roku życia zmarł nagle ś. p. Wincenty Dworzyński, znany inżynier i nieposzlakowany człowiek.

Uzyskawszy stopień inżyniera komunikacji, zmarły rozpoczął swą karjerę na kolei warszawsko-wiedeńskiej, skąd powołano go na stanowisko naczelnika dystansu kolei południowo-zachodnich. W r. 1884 powraca do kraju i obejmuje na kolei warszawsko-wiedeńskiej wysoki urząd naczelnika wydziału służby drogowej; ustępuje z tego stanowiska po skupie kolei przez rząd w dniu 1-ym stycznia 1912 r.

Działalności społeczno-filantropijnej ś. p. Dworzyńskiego należało się wyjątkowe wyróżnienie, to też w uznaniu zasług wybrano go na prezesa zarządu „Pogotowia opiekuńczego dla dzieci". Na stanowisku tem otoczył szczególną troską Dom opieki dla dzieci w Piasecznie, gdzie zaprowadził kanalizację i wiele innych hygienicznych urządzeń.

Odszedł, spełniwszy godnie swe zadanie.

Zamach na wicekróla w Delhi.

Nie stłumiło władztwo angielskie wyzwoleńczych dążeń hindusów a duch buntowniczy pokutuje wśród ludów Indji. Potwierdza to świeży zamach na wicekróla lorda Herdinge'a. Gdy wspaniały pochód z wicekrólem na czele dążył ulicą Chandżi Crouk, bomba rzucona z jednego z domów wybuchła z ogromną siłą. Wicekról, lekko raniony w łopatkę, zemdlał wkrótce po wybuchu a przewieziony do pałacu odzyskał jednak przytomność. Służący wicekróla został zabity na miejscu zaś parę osób z orszaku raniły odłamki bomby.



Lord Herdinge,
wice-król Indji.

Po przerwie — pochód ruszył dalej, a ceremonji przyjęcia hołdu w wielkiej sali Durbaru, od książąt hinduskich w zastępstwie wicekróla dokonał sir Fleetwood Wilson.

Uroczystości watykańskie.

Uroczystości watykańskie, powagą i świetnością przechodzą wszystko coby się tylko dało o tem powiedzieć.

Purpury kardynalskie, fjolety biskupie, wspaniałość ubiorów gwardji papieskiej, piękno i wielkość świątyni, ceremonjał poważny i śpiewy, potęgą swych tonów poruszające do głębi dusze ludzkie — wszystko to czyni wrażenie niezatarte, szczególniej na pielgrzymach, przybywających z hołdem do Rzymu.

W tych czasach właśnie odbył się wielki konsystorz, poprzedzony uroczystem nabożeństwem i procesją, podczas której według ceremonjału, niesiono Ojca św. na tronie, zwanym *sedia gestatoria*. Prócz kardynałów i dygnitarzy kościelnych, gwardja papieska w pełnej gali bierze wówczas udział w procesji, postępując przy tronie.



Papież Pius X, niesiony na sedia gestatoria, przybywa na otwarcie wielkiego konsystorza w Watykanie.

KRÓL LOTNIKÓW.

Słynny Pilot Roland Garros znów zapisał się w dziejach awiatyki epokowym lotem z Tunisu do Rzymu. Odległość między temi dwoma miastami, drogą, którą szybował w przestworzu śmiały lotnik na swym mo-

Czas odnowić prenumeratę na kwartał I — r. 1913.



Roland Garros odbył nad morzem Śródziemnem drogę z Tunisu do Rzymu.

noplanie wynosi 1200 kilometrów z czego na lot nad morzem Śródziemnem przypadło 600 kilometrów; pobił więc Garros nietylko rekord długości lecz i rekord lotu nad morzem.

Uważając, że warunki są sprzyjające, puścił się z Tunisu w niebezpieczną podróż w dniu 18 grudnia a już w parę godzin po opuszczeniu Afryki i lotu nad szczerem morzem dotarł do pierwszej europejskiej swej stacji Trapani na Sycylji. Stąd udał się dalej, powietrznym szlakiem, do S-ta Eufemia we Włoszech, następnego dnia do Neapolu i w końcu do Rzymu. Cała droga trwała, łącznie z przystankami i odpoczynkiem, 3 dni — a podczas lotu osiągał Garros szybkość 133 kilometrów na godzinę.

Należy jeszcze zaznaczyć, że na 2 tygodnie przed świetnym lotem Tunis—Rzym, pobił Garros rekord wysokości, wzbiwszy się w górę na 5601 metrów!

Na Nowy Rok.

Na Nowy Rok, na Nowy Rok
Życzymy wszystkim ślicznie,
By los zaprzestał sójki w bok
Dawać nam ustawicznie.

Niechaj nie będzie nowych bied
Wśród wartkich życia kręgów,
By skołatany polski grzbiet,
Odpocząć mógł od ciągów.

Niech w niepewnego roku czas
W jedności będziem bratniej,
By polska skóra chociaż raz
Szczęśliwie wyszła z matni.

Niech nas omija wszelki krach
Wśród atmosfery palnej,
Niech rok, co budzi w świecie strach,
Nie będzie nam feralny.

Niech na naszego nieba tle
Choć słaba błyśnie gwiazdka...
Gdy inne cyfry dla nas złe,
Niech sprzyja nam „Trzynastka".

Antoni Orłowski.
(Krogulec).

ŁAMIGŁÓWKA.

Z 17 wyrazów, jednej spółgłoski i jednej samogłoski ułożyć kwadrat w ten sposób, by środkowe litery wyrazów w miejscach wskazanych numerami, dały imię i nazwisko znakomitego malarza i poety polskiego.

Wyrazy: 1) Spółgłoska, 2) liczba, 3) Imię żeńskie, 4) Stacja klimatyczna, 5) Rzeka w Ameryce półn., 6) Miasto w Galicji, 7) Ulica, 8) Marszałek Galicji, 9) Kompozytor polski, 10) Szukany wyraz, 11) Władza handlowa, 12) Poeta, 13) Dziennik, 14) Teatr, 15) Poeta, 16) Zdrobniałe imię żeńskie, 17) Także, 18) Rzeka w Rosji, 19) Samogłoska.



Z gry bałkańskiej. Ten biedak, zgrany do nitki, jeszcze ma nadzieję, że tamci czterej pokłócą się przy dalszej grze, skoro będzie chodziło o wielkie atu.



Światła i chleba!

Łódź należy do miast bardzo szczodrych. Rozdaje ona ludziom hojnie nietylko miljony, ale nędzę i ciemnotę. Dzięki zaś ustrojowi społecznemu, w którym żyjemy, oddychamy, cierpimy, wszystkie trzy powyższe czynniki idą zawsze w parze. Miljony rosną na gruncie umierzwionym ciemnotą i nędzą. Wielkie ognisko, wytwarzające miljony, nie może jednak zdobyć się na to, ażeby nędzę i ciemnotę usuwać środkami społecznymi lub państwowymi. Robi to przeważnie zbolała, spracowana ręka Dobroczynności. Oto i dziś podjęła ona akcję ratunkową, mającą na celu zorganizowanie pomocy dla rzeszy robotników pozbawionych pracy: zwołała zebranie ogólne z przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa (przemysłowców, robotników, duchowieństwa, obywateli, lekarzy) dla wspólnej narady w sprawie akcji ratunkowej. Towarzystwo dobroczynności ma przedewszystkiem na celu założenie komitetu ratunkowego, niezależnego od tej instytucji. Zadaniem zaś komitetu będzie zorganizowanie możliwie najszerszej akcji ratunkowej w zakresie dostarczania zarobku ludziom pozbawionym pracy. Ponieważ do komitetu wejdą wybitni obywatele, wpływowi i bogaci, oraz zapewne i gospodarze miasta, można więc mieć nadzieję że za ich wpływem da się stworzyć szereg robót publicznych i miejskich, które wciągnęłyby liczne rzesze robotników. Wyjątkowo lekka zima daje możność prowadzenia takich robót miejskich i budowlanych, które zwykle są prowadzone w innych porach roku.

Tak więc stworzenie tej akcji ratunkowej jest na gruncie łódzkim, zjawiskiem bardzo dodatniem. Jakkolwiek akcja taka nie uleczy gruntownie ciężkiego niedomagania, nie usunie całkowicie nędzy, ale w każdym razie może się przyczynić do jej znacznego zmniejszenia. Ze stanowiska potrzeby reform zasadniczych ratunek taki nie przekracza granic półśrodków, ale i półśrodkami nie można gardzić tam, gdzie nędza czyha na życie tysięcy ludzi. Należy się więc uznanie chrześćjańskiemu Towarzystwu Dobroczynności w Łodzi za tę obywatelską działalność w chwili najcięższej dla licznych rzesz robotniczych.

Inna niedola—to ciemnota tysięcy dziatwy robotniczej lub wyrobniczej, która jakgdyby wyrzut sumienia, w godzinach szkolnych tłumnie się gromadzi na placach publicznych, na ulicach i w podwórzach domów. Gdyby jakiś cudzoziemiec, obywatel kraju, obdarzonego wszelkiemi dobrodziejstwami kultury chciał zwiedzić Łódź i jej wszystkie zakątki, gdyby przy tem nie miał przewodnika, któryby mu tłumaczył wszelkie objawy życia, byłby niepomiernie zdziwiony tym tłumem dziatwy na placach, ulicach i podwórzach. Gdyby zaś przytem zauważył, że bardzo często na czele tej dziatwy stoi jakiś drab kilkonastoletni, który zaprawia się do gier rozmaitych, znanych w repertuarze złodziejsko-ulicznym, byłby pewnym, że widzi oryginalne szkoły na otwartem (nie powiem—świeżem) powietrzu.

Dziatwy tej nie mogą zmieścić szkoły łódzkie a środki, płynące z opodatkowania ludności nie mogą wystarczyć na założenie i utrzymanie nowych szkół, których liczba przynajmniej dziesięciokrotnie powinna przewyższać liczbę istniejących.

Niedawno na szpaltach *Gazety Łódzkiej* p. St. Opocki wskazał źródła, z których należałoby skorzystać i które pono pozwoliłyby Łodzi wprowadzić nauczanie powszechne. Autor zwraca uwagę na to, że na zasiłki dla miast, ziemstw i gmin, związane z wprowadzeniem nauczania powszechnego początkowego, władze ministerjalne przeznaczyły dla całego państwa 21,524,557 rb. Z tego kredytu skorzystało już i skorzysta w najbliższej przyszłości z 67 ziemstw powiatowych w tak zw. guberniach zachodnich—48, z 14-ma toczą się rokowania, 3 żądają zapomóg. Na budowę nowych szkół zażądano 14 miljonów rubli. Pragnąć uczynić zadość tym potrzebom, ministerjum oświaty żąda wyasygnowania dodatkowo jeszcze 8 miljonów rubli na rok 1913. Dotąd jednak Królestwo Polskie z tych zapomóg bardzo mało korzysta. Z tego powodu p, Opocki zapytuje: Czemu kraj nasz wogóle a Łódź w szczególności są tak skromne w swych wymaganiach, że aż żadnych żądań nie stawiają? Czyby rzeczywiście z całego Królestwa jedynie tylko gmina Bąków w pow. Łowickim należycie ocenić umiała znaczenie potrzeby nauczania powszechnego, skoro ona tylko wystarała się o zapomogę rządową w kwocie 1,565 rubli?

Niezależnie od korzystania z tego źródła, Łódź, zdaniem p. Opockiego, mogłaby skorzystać z jakiegoś „specjalnego funduszu,“ przeznaczonego na budowę szkół, który dziś podobno już wynosi około 30 tysięcy rubli. Ponieważ jednak tego funduszu nie starczy, więc należy zaczerpnąć środków z innych źródeł, choćby tytułem pożyczki, która „nie będzie zbyt

uciążliwa dla kasy miejskiej, gdyż z podatku szkolnego można ją spłacać corocznie ratami.

Na tych podstawach materjalnych, zdaniem p. O., można w Łodzi wprowadzić ni mniej, ni więcej — tylko nauczanie powszechne. Wystarczy, ażeby ten projekt ktoś wniósł na porządek dzienny jednego z posiedzeń zbiorowych wszystkich komisji szkolnych z udziałem prezydenta oraz radnych miejskich. (Jest pożądane, ażeby to uczynili członkowie komisji polskiej). Następnie projekt ten po odpowiedniem opracowaniu i uzasadnieniu, należy wnieść do władz wyższych, które „nie odmówią swego zatwierdzenia."

Jednocześnie zdaniem autora, może być rozstrzygnięta sprawa lokalów szkolnych. Łódź posiada mnóstwo placów przy różnych ulicach. „Wystarczyłoby określić punkty największego skupienia dziatwy w poszczególnych szkołach, wybrać odpowiednie place miejskie i przystąpić jaknajspieszniej do budowy gmachów szkolnych miejskich..."

Oby u nas można było tak pośpiesznie i łatwo budować gmachy szkolne jak się buduje projekty. Obyśmy mieli tak pogodne niebo na widnokręgu naszej oświaty, jak je ma p. Opocki na widnokręgu swoich projektów, a niewątpliwie mielibyśmy rychło nauczanie powszechne nietylko w Łodzi, ale w całym kraju.

Fundusz, wyznaczony przez ministerjum przedstawia się bardzo imponująco w oderwaniu, ale jest bardzo nikłym w stosunku potrzeb rozległego państwa, spowitego w mrokach analfabetyzmu. Nie mam zamiaru ochładzać zapału p. Opockiego ani też zrażać społeczeństwo i radnych miasta do rozwinięcia zabiegów autora. Owszem—spróbować należy. Ale wszedłszy na ten grunt realny nie należy jednocześnie bujać wzrokiem po obłokach złudzeń. Gmina Bąków była szczęśliwą i może swym przykładem zachęcić innych; ale czy będzie również szczęśliwą Łódź; której potrzeby oświatowe są cokolwiek większe niżeli potrzeby gminy Bąków?...

Po wyzyskaniu źródeł, wskazanych przez pana O., w najprzystępniejszych warunkach można będzie zdobyć kilka szkół, ale do nauczania powszechnego, niestety, zbyt jeszcze Łódź daleko. Dość sobie tylko uprzytomnić te nieszczęsne składki szkolne, których ściąganie odbywa się z niesłychanym trudem i z których usiłują wszelkimi środkami wyłamać się bogate Towarzystwa akcyjne, złożone z najbogatszych kapitalistów. Prawda, że ci kapitaliści, a raczej niektórzy z nich, pozakładali i utrzymują własnym kosztem szkoły początkowe, ale to nie usprawiedliwia ich w chęci pozbycia się obowiązków społecznych, nałożonych w innej formie.

Nie łudźmy się także nadzieją, że samorząd miejski przyniesie nam nauczanie powszechne, bo po pierwsze ten samorząd, jak wiadomo, jest już pogrzebany, a po wtóre, gdyby nawet wszedł w życie, to nie miałby nic wspólnego z oświatą, gdyż ta, według projektu, miała być wykluczoną z pod kompetencji samorządu.

Pracujmy tedy nad rozszerzeniem oświaty, dążmy nawet do zdobycia, nauczania powszechnego dla Łodzi i innych ognisk, ale unikajmy przy tem złudzeń, gdyż te nie pozwolą nam trzeźwo patrzeć na rzeczywistość, mogą nas z drogi prostej sprowadzić na manowce i przynieść dotkliwe zawody, które, jak wiadomo, nie są czynnikiem pobudzającym energję.

Zenon Pietkiewicz.

Położenie obecne.

W dalszym ciągu położenie ekonomiczne jest bardzo ponure. Zastój w przemyśle coraz bardziej odczuwać się daje. Z głębi Rosji powrócili już liczni komiwojażerowie i przywieźli wieści smutne. Nowych zamówień bardzo mało; regulowanie rachunków starych idzie bardzo ciężko. Natomiast kupcy rosyjscy zwracają coraz więcej towarów nierozprzedanych z sezonu poprzedniego. Fabrykanci łódzcy są wprost zawaleni tymi zwrotami. Sezon następny nie zapowiada się pomyślnie. Jednocześnie z Cesarstwa ciągle napływają alarmujące wieści o bankructwach firm nawet poważnych, które były w stosunkach handlowych z Łodzią. Oto świeżo w Krzemieńczuku zawiesiły wypłaty „Tow. M. Draznin i Treplickij" hurtowy handel manufakturowy. Łódź tem bankructwem jest bardzo zainteresowana, gdyż są poważnie poszkodowane firmy miejscowe. Z innych stron przychodzą również niepokojące wieści. Zwykle na tych bankructwach w Rosji muszą cierpieć wierzyciele miejscowi, najwięcej zaś łódzcy. Widzimy to zjawisko i obecnie także: powyższa firma w Krzemieńczuku, której pasywa wynoszą 200,000 rb. płaci wierzycielom miejscowym 100 za 100, zamiejscowym, a więc i łódzkim — tylko 50 za 100. Jest to jeszcze wynik pomyślny—bywa gorzej.

Na tem jednak nie koniec. Z ust do ust krążą tajemnice publiczne o nowych bankructwach, które wkrótce nastąpią. „Stoimy na stanowisku, które lada chwila się przerwie pod nogami ludzi bardziej obarczonych. Wielu zniknie w przepaściach bezdennych!" Takie są dyskretne przepowiednie, wypowiadane poufnie na przyszłość najbliższą. To też ostrożność panuje niesłychana. Przemysłowcy i finansiści patrzą dokoła wzrokiem natężonym, jakby w oczekiwaniu pertyzantów; są niesłychanie powściągliwi w udzielaniu kredytu. Jak długo taki stan potrwa, trudno określić.

Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza, — **Łódź, Inżynierska l.**



Femina

PIĘKNOŚCI DRUGIEJ PÓŁKULI.



Rita Gould, arcymiljarderka.

Mabel Hamilton, słynna popul. śpiewaczka.

Dazie, najsłynniejsza amerykańska tancerka.

Hollim Vanderbilt, arcymiljarderka.

Białe niewolnice.

Handel niewolnikami zniesiony przez prawodawstwo wszystkich ucywilizowanych krajów, a uniemożliwiony przez umowy i gwarancje międzynarodowe, jeszcze niespełna 50 lat temu kwitnął w najlepsze, bogacił wielu przedsiębierców i wydawał się niezbędnym dla rozkwitu ekonomicznego pewnych zamorskich krajów i kolonji. Trudno nawet zaprzeczyć, że były między nimi i takie, w których po zniesieniu niewolnictwa nastąpił ekonomiczny upadek, gdyż praca najemna albo nie opłacała się, albo też nie była możliwą do nabycia. Niemniej niema już dziś człowieka któryby się ośmielił ubolewać nad tą reformą, niema człowieka ucywilizowanego, któryby ze zgrozą nie wzdrygał się na myśl, iż mogły istnieć i to w tak niedawnej epoce obyczaje czyniące z istot ludzkich bydło robocze, kupowane, karmione, pędzone do roboty, odprzedawane dla zysku i wygody oraz wedle uznania właściciela.

Też same społeczeństwa cywilizowane tolerują jednak wśród siebie handel o wiele więcej gorszący i niczem, nawet egoistycznymi klasowymi względami nieuzasadniony, handel żywem mięsem kobiecem.

Targowiska białych niewolnic żadnemu krajowi nie przynoszą korzyści. Przeciwnie są one tylko rozsadnikami fizycznej i moralnej zgnilizny szerzącej się za ich pośrednictwem z wnętrza przeludnionych krajów Europy na odległe obszary globu, do dziewiczych ziem zaludnianych i branych pod uprawę dopiero w ostatnich okresach historji, zarówno jak i do prastarych miast i portów Wschodu.

Czy dla tego, że ofiarą tego niewolnictwa i tego handlu pada jedynie słabsza połowa ludzkości, dotychczas oficjalnie głosu pozbawiona, choć ona właśnie przez usta amerykańskiej autorki okrzykiem boleści i grozy zbudziła sumienie publiczne, by niewolnictwu murzynów koniec położyło, czy że obyczaje i obrządki wielu ludów tradycyjnie uświęciły sprzedawanie kobiet w małżeństwie i poza małżeństwem — dość, że do bardzo niedawnego czasu handel białemi niewolnicami nie spotykał się z najmniejszem nawet przeciwdziałaniem. Dopiero od kilkunastu lat zaczęły się zawiązywać ligi i odbywać kongresy zmierzające do zwalczania tej ohydy i tylko bardzo słabe odniosły sukcesy w postaci obostrzeń zaprowadzonych w niektórych kodeksach karnych. Jest to ruch względnie tak świeży i tak słaby, że niema jeszcze swej historji. Dla wyjaśnienia nadmieniam, że nie można go utożsamiać ani z ruchem abolicjanistycznym, ani z walką przeciw prostytucji, ani z ruchem etycznym przeciw podwójnej mierze moralności – choć z tymi wszystkimi prądami w ścisłym pozostaje w związku.

Niewątpliwie gruntowne i szerokie reformy obyczajowe, które przekształciłyby doszczętnie obyczaje i wykorzeniły wszelkie nienormalności życia płciowego – uczyniłyby całkiem zbytecznem ogólne zwalczanie handlu żywym towarem. Gdyby nie było prostytucji, nie istniałaby kwestja [domów publicznych, gdyby nie było domów publicznych, żywy towar nie miałby odbiorców — a zatem handlarze—czyli dostawcy musieliby zlikwidować swe interesy. Z tego jednak bynajmniej nie wynika, ażeby zwalczanie tego ohydnego handlu należało odłożyć do chwili, aż opinja, obyczaje i wychowanie tak przetworzą etykę płciową, iż go uniemożliwią.

Stawianie kwestji w ten sposób ogromnie przypomina tych ciasnych doktrynerów społecznych, którzy twierdzą, że ani kwestja kobieca, ani kwestje narodowościowe, ani antymilitaryzm, ani wogóle żadne inne współczesne prądy nie mają racji bytu, gdyż wszystkie zagadnienia zostaną doraźnie rozwiązane, gdy na miejsce ustroju kapitalistycznego nastanie ustrój socjalistyczny.

Na szczęście nikt na ten nieokreślony termin się nie ogląda i nie odkłada żadnej reformy, niezbędnej i palącej, bo czy może być bardziej paląca i niezbędna nad tę, która choćby środkami zewnętrznego przymusu i kryminalnej odpowiedzialności położyłaby koniec tej największej ohydzie wieku, tej najwstrętniejszej formie niewolnictwa.

Sprawa ta ma nietylko znaczenie ogólnoludzkie ale ma dla nas i specjalną społeczną doniosłość. Większość z pomiędzy nas nie domyśla się nawet zapewne, że głównem targowiskiem, a raczej główną dostawą żywego towaru jest właśnie nasz kraj, że z niego, z ziem polskich rokrocznie 8 — 10000 dziewcząt wywożonych bywa na międzynarodowe rynki; że tu, do miast i miasteczek leżących w obrębie naszej ojczyzny zjeżdżają przekupnie z całego świata by odbywać formalne jarmarki na białe niewolnice. Żywy towar z Polski rozwożony bywa do portów

amerykańskich i śródziemnomorskich w wielkiej obfitości i sprzedawany po wysokiej cenie.

W Argentynie, w Lizbonie, Egipcie, Konstantynopolu, w Colombo i w dalszych jeszcze portach oceanicznych marnują się i bywają zamknięte w lupanarach młodziutkie polskie dziewczęta, dziewczynki -- można nawet powiedzieć, gdyż są przecież między temi ofiarami podstępnego a trudnego handlu dwunastoletnie dzieci.

Mylnem jest najzupełniej przekonanie, którem uspokajać się lubi niejeden, że większość tych nieszczęsnych niewolnic dobrowolnie i świadomie obiera sobie tę awanturniczą drogę. Błąd ten popełniać może tylko ten, kto nigdy, nawet dorywczo i powierzchownie nie zaznajomił się z istotnym stanem rzeczy. Świadomie i dobrowolnie większość tych dziewcząt choć bynajmniej nie wszystkie uciekają z ognisk rodzinnych, by szukać szczęścia za górami, lecz literalnie żadna nie zdecydowałaby się na ten krok, gdyby wiedziała, jak to szczęście wyglądać będzie. Słowem, jeżeli rzadko która jest porwana gwałtem, a nie każda podstępem wywabiona, to każda jest oszukaną bądź to obietnicą korzystnej posady, bądź też świetnej karjery małżeńskiej lub wreszcie rozkoszy we dwoje na jakiejś odległej wyspie szczęśliwości. O tem, że będzie po drodze sprzedana, a po przybyciu na miejsce uwięzioną w jakiejś jaskini rozpusty, wyjętą z pod praw, pozbawioną możności rozporządzania sobą, swem ciałem, swem imieniem, nazwiskiem, garderobą, swym brudnym zarobkiem, bitą, poniewieraną, wyniszczoną fizycznie a wszystko to dla zysków handlarza lub handlarki ciągnących z tego źródła krociowe zyski a zbijających miljonowe fortuny, o tem zapewne żadna z nich porzucając dom rodzinny nie ma najlżejszego przeczucia. I tu znowu dochodzimy do punktu, w którym bardzo wyraźnie zaznacza się różnica między reformami obyczajowemi wogóle a zwalczaniem handlu żywym towarem w szczególności. Zanim zdołamy zmienić opinję i obyczaje wytwarzające wielce nienormalne i niemoralne obecne stosunki płciowe, czyż nie należałoby conajmniej dążyć do tego, by nikt wbrew swej woli, podstępem ani przemocą nie był zmuszany do sprzedawania swego ciała na cudzy rachunek?

Czyż nie trzeba bądź co bądź przyznać, że to nie jest to samo, czy ktoś sprzedaje siebie, na własne ryzyko dobrowolnie i świadomie, choćby pod naciskiem okoliczności, czy też jest sprzedawany i sam nie wiedząc jak i kiedy spychany w otchłań bez wyjścia? Jest tu przecież ta sama różnica co między najbardziej wyzyskiwaną pracą najemną — a rzeczywistem niewolnictwem.

Najczęstsze są te wypadki, gdy dziewczęta lub młode kobiety wpadają w pokątnych biurach emigracyjnych w zręcznie nastawione sieci stręczycieli i stręczycielek lub też pseudo-konkurentów, którzy z niemi biorą nie prawne lecz dobrze symulowane śluby. Nierzadkie są jednak i takie zdarzenia, że wprost porywane są w drodze w obcym kraju, gdzie nie wiedzą skąd szukać pomocy i ratunku, a nie znając języka z nikim się porozumieć nie mogą. Świeżo opowiadano mi taki fakt: Brat i siostra jechali razem do rodziny zamieszkałej w Stanach Zjednoczonych, otrzymali zaś informacje, karty okrętowe i przejazd przez granicę za pośrednictwem jednego z wielu pokątnych biur emigracyjnych. W drodze na jakimś dworcu kolejowym, towarzyszący im agent odwołał brata pod pretekstem prośby, by mu jakiś polski list napisał. (dok. nast.)

Iza Moszczeńska.



Białe niewolnice. Bezczynność, rozpusta i nuda.



„Sylwester.“

Po uroczystościach gwiazdkowych i świątecznych tylko co przeżytych, o charakterze poważnym — rodzinnym — czeka nas święto obchodzone również przez cały świat cywilizowany. Jest niem pierwszy dzień Nowego Roku, który się rodzi w noc „Sylwestrowską“ z uderzeniem godziny 12, a w tejże samej minucie poprzednik tego nowonarodzonego — przestaje być... rozwiewa się w czasie i przestrzeni...

Zdawałoby się, że fakt ten spełniający się co roku całymi szeregami wieków; powinien był spowszednieć, zobojętnieć ludzkości, jak wogóle powszednieje i obojętnieje jej wszystko to, co się powtarza, w tym razie jednak dzieje się przeciwnie... Ta przełomowa chwila, to powitanie nowej frakcji, nowego odłamku życia, wzrusza ludzi nad wszelkie spodziewanie.

Na to wzruszenie składa się wiele odrębnych uczuć, trochę nadziei... wiele obawy, zabobonnego lęku przed niepewnem jutrem... wiecznie powtarzające się pytanie: „Co też ten rok nowy przyniesie”, każdemu z nas poszczególnie. Jakby dla zażegnania złych losów, dla zniewolenia sobie tego młodziuchnego Panicza — miljony ludzi gotuje mu najgościnniejsze — najwspanialsze przyjęcia, witają go wesołością i śmiechem, perlistym szampanem piją jego zdrowie, rzucają mu kwiaty pod stopy.

We wszystkich stolicach świata noc Sylwestrowska odznacza się bajecznem ożywieniem. Miejsca zebrań publicznych, restauracje, bary, kawiarnie, kabarety, sale balowe, toną w świetle, huczą muzyką, wrą życiem strojnych rozbawionych tłumów, czekających gorączkowo wydzwonienia północy... Za pierwszem uderzeniem zegara światła na chwilę gasną, gwary milkną... kona rok stary... To trwa zaledwie kilka sekund, po których potoki blasków zalewają salę, ze wszystkich piersi wyrywają się „Zdrowia“ i „Wiwaty,“ wyciągają się ręce do uścisku, do życzeń... zrodził się Rok Nowy!...

I to upojenie wesołością i winem trwa do rana... Młody Panicz przeżywa tej nocy bodaj najpiękniejsze chwile swego



„Sylwester“. Sam na sam.

krótkiego jednorocznego żywota—łask jego bowiem spodziewają się wszyscy, a nie miał jeszcze czasu zawieść nikogo...

Zwyczaj witania Nowego Roku w miejscach publicznych wzmaga się coraz więcej—hołduje mu głównie Paryż i Berlin. W Londynie i w Wiedniu więcej jest nocy tej zebrań prywatnych w zamkniętych, przyjacielskich kołach, co wcale nie wyklucza szczerej zabawy i wesołości. Często się zdarza, że cała rozbawiona kompanja jedzie na kieliszek szampana do jakiejś wielkiej restauracji lub kabaretu i tam spędza resztę Sylwestrowskiej nocy.

Bywają też uprzywilejowane specjalne warunki, w których dwojgu młodym, kochającym się ludziom, wystarcza w noc Sylwestrowską, najmilszy im *jeszcze* „at home“. Na to, by się upajać chwilą obecną, a snuć cudne na przyszłość marzenia, nie potrzeba im ani sztucznych wrażeń, ani świata— ani ludzi.—Młodość i miłość — oto wszystko...

Warszawa—ta która wogóle bawi się i używa — spędza noc Sylwestrowską bardzo wesoło— Teatry wszystkie przepełnione— Restauracje nabite, kabarety nie puszczają już „gości“ z powodu niebywałego tłoku, wszędzie gwar, śmiech, wesołość, istna powódź prześlicznych kobiet i ślicznych strojów. Piękne oczy iskrzą się blaskami djamentów, cudne usteczka szepczą słodkie życzenia, filgranowe rączki wyciągają się do miłych uścisków... a wszędzie— dokoła słychać... „Niech żyje Rok Nowy, niech darzy szczęściem i spokojem“...

Marcèle.



„Sylwester“. W gronie przyjaciół.



O RĘKACH I NÓŻKACH.

Les mains des femmes
Sont des bijoux,—
Dont je suis fou!

Majol.

Piękność kobieca—ten wielki i potężny, wszechświatowy motor — ta racja bytu olbrzymiej frakcji przemysłu i handlu, ta czarowna oś, wokoło której obraca się świat, opiewaną była ciągiem wieków przez całe zastępy natchnionych mistrzów słowa, pędzla — dłuta i dźwięków. Pisano na jej cześć tysiące tysięcy tomów, odtwarzano ją w obrazach i rzeźbach, sławiono cudnemi melodjami pieśni, upajano ją wonnych kadzideł dymem — a ona, ta świetlana i urocza, spoglądała od wieków i spogląda po dziś dzień, z wysokości wzniesionego jej piedestału — na rozmodlone tłumy swych fanatycznych wielbicieli!...

Na *doskonałą* całość tej piękności naszej, składa się wiele szczegółów, z których, między innemi ręce i nogi odgrywają bardzo bardzo ważną,— choć na pozór drugo planową rolę.

Kobieta choćby bardzo ładna—ale posiadająca duże, ordynarne, zaniedbane ręce, i niekształtne stopy, traci cały wdzięk i nie może się podobać kulturalnemu, wytwornemu mężczyznie. I przeciwnie — bo nawet mniej pociągająca buzia i postać niewieścia, obdarzona drobnemi, pięknie utrzymanemi rączkami, o miękkich, atłasowych dłoniach, o wydłużonych cieniuchnych paluszkach zakończonych paznogciami lekko różowymi z blaskami agatu i kształtnemi, małemi stopami o podbiciu wysokiem, i cieniuchnej w kostce obsadzie—staje się bardzo miłem zjawiskiem i dziwnym czarem pociąga ku sobie... Ładne—małe kończyny, są poza tem oznaką dobrej, poprawnej rasy.

Nowoczesne rzymskie arystokratki wyczuwające subtelnie urok pięknych rąk i nóżek — otaczają takowe niezmiernemi, aż do przesady posuniętemi staraniami, bo nie mówiąc już o wspaniale uskutecznianych „Manicure" nadających rączkom niebywale piękny wygląd, takiej samej operacji poddają stopy, których paluszki wraz z paznogciami są różowione i sztucznie szlifowane aż do błysków opali... Na dobroczynnych *wentach* księżne i margrabiny rzymskie w dowód osobliwej łaski pozwalają mężczyznom za dużą ceną całować te stopy, na których tylko bransoletek i pierścionków brak, a które oczywiście nie znajdują się nigdy w styczności z brukiem ulic lub żwirem wielkomiejskich ogrodów, stąpając wyłącznie po kobiercach salonów lub murawach parków. Ręce tych wielkich dam włoskich, po odbytej codziennej operacji „Manicure" dotykają się zaledwie wytwornie oprawnej książki, lub klawiszy pianina, lub jakiegoś kosztownego cacka — a resztę czasu spoczywają na jedwabiach i atłasach...

Na szczęście ludzkości, dam *takich* jest niewiele a ogół elegackich kobiet żyje zupełnie inaczej, w obecnych sportowych, ruchliwych, czasach. Drobne rączki nie boją się cugli wierzchowca lub lejc zaprzęgniętych karosierów, potrafią nawet ująć wiosła lub spełniać służbę szofera przy własnym automobilu, a nóżki stosownie obute biegną szybko po ulicach i ogrodach — nóżki te również widzimy nieraz uzbrojone w wrotki, łyżwy i t. p. Wszystko to nie przeszkadza, że za nadejściem wieczoru następuje dla rączek i nóżek zupełna zmiana dekoracji. Grube sportowe pokrycie rąk zastąpiono pięknymi okazami sztuki rękawiczniczej, rzeźbiącymi ręce duńską lub glansowaną cieniuchną skóreczką, stopy uwięzione w atłasie pantofelków, nóżki obciągnięte gazą lub jedwabiem pończoszki, spieszą na salę balową—aby dzięki nowej oryginalnej a tak estetycznej modzie, ukazać się śmiało w całej swej piękności z pod przezroczych, misternie skrojonych



Manikurzysta przy pracy.

szat, o wązkich trenach i specjalnych draperjach.

Kobieta *z modern-style*, sportowa, ruchliwa, mająca rozliczne zajęcia i w domu i poza domem, niema oczywiście czasu na *przesadne* starania około rąk i stopek, dlatego uskutecznia sobie najczęściej sama operacyjkę „Manicure“ i „Pedicure“, która powtarzana choćby dorywczo ale codziennie, udaje się doskonale, przy pewnej umiejętności zręcznie zastosowanej i właściwych przyrządach. Lekkie wymoczenie paznogci w wodzie ciepłej z mydłem tualetowem, ładne, równe obcięcie i opiłowanie, t. zw. *lime mouvente*, odsunięcie skórek specjalnym kijeczkiem z drzewa cedrowego — obmycie płynem *Rosaria* i natarcie *Rosaria* kremem, wyglansowanie amerykańskim proszkiem *Lustre-ite*—i operacja skończona.



Nóżki na wystawę.

Marcèle.

Panna Eleonora Lopez.

Przedstawiam Szanownym Czytelniczkom na rycinie naszej—śliczną kobietę i śliczną tualetę. Jedna i druga — artystyczna.

Panna *Eleonora Lopez*, włoszka, jest pomimo swej młodości sławną już—tancerką. Śliczna głowa i piękny całokształt postaci, oraz niezrównana gracja ruchów, jednają jej ogólną sympatję. Powróciła tylko co z Ameryki, gdzie ją zarzucano kwiatami i... bezcennymi brylantami. Gust *p. Lopez* musi się równać jej piękności, bo ubraną jest przepięknie choć na pozór skromnie.

Spodnia suknia z białego, indyjskiego muślinu w drobne fałdki, obłożona dosyć szeroko prawdziwą szenszylą. Na wierzchu lekko drapowana i spięta na boku tiunika, z białego *Crêpe de Chine* z bogato haftowanym en *relief* szlakiem. Stanik tworzy, na ramionach, draperję „kimono“ również *z Crêpe de Chine*, jedna strona i rękawki obłożone *szenszylą*. Na głowie rodzaj turbana perskiego z materji białej, nad czołem olbrzymia czarna egreta. Całość idealnie ładna.

Wystawa obrazów, rzeźb i... sukien.

W przyszłym paryskim „Salonie“ ujrzymy sensacyjną nowość: Suknie wystawione obok obrazów i rzeźb. Będzie to wielkim tryumfem „Mody“ obecnej, której okazy są istotnemi dziełami sztuki. Skoro wystawiano kobiece meble, biżuterje, wyroby galanteryjne, dlaczegoż by nie miano udzielić miejsca w tym przybytku sukniom, będącym wcieleniem najwyższej elegancji i estetyki. Wielki paryski krawiec to artysta, musi mieć poczucie barw kolorytu i subtelnych odcieni, musi rzeźbić linje i kontury, urabiać swoje pomysły nie z gliny lecz z jedwabiów i koronek—musi tworzyć, więc najsłuszniej należy mu się takie odznaczenie.



Tancerka Eleonora Lopez, w gustownej sukni wieczorowej.

Miasto rozwodów.

Jest niem *Reno* w Stanach Zjednoczonych. Znajduje się ono w Stanie *Nevada* i jest rządzone świetnem prawem dla tych którzy chcą się z łatwością uwolnić z niezawsze słodkich więzów małżeńskich... Wystarcza by stadło pragnące się rozejść zamieszkało na czas sześciomiesięczny w Reno — a najwyższe trybunały udzielają mu rozwodu z przyczyny niezgodności charakterów... Za Ocean emigrować będziemy gromadnie...

Skoro mowa o rozwodach wart jest zaznaczenia fakt następujący, również... amerykański:

M-rs R. W. Waters rozwodzi się jednego poranku o 11 mając za świadka, swego przyjaciela M. K. Clifford Brunk, ten ostatni zachęcony przykładem rozwodzi się o 12, o tejże godzinie sędzia ogłaszał wyrok rozwodowy pani Emmy B. Crotty. Oczarowany widokiem tejże pięknej rozwódki, pan R. W. Waters — oświadcza jej się. Ten sam sędzia który ich rozwodził, połącza ich, ale pan M. K. Clifford Brunk, nie chcąc pozostać, samotnym, żeni się natychmiast z byłą żoną pana R. W. Waters...

I to nie jest bajką — działo się to istotnie w Cincinnati. Już chyba lepiej dzieje się u nas...

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

Czarny chleb.

Pociąg kolei żelaznej przeleciał po moście i wstrząsnął łoskotem martwą ciszę pustkowia. Linja szła przez bagna i rozlewy leniwej rzeki i przerzynała wielki szmat tych mokradeł białą taśmą sztucznego nasypu. Wokoło jak okiem sięgnąć — był obszar monotonny czarnych wód, nizkich łóz i bezdennych torfowisk pokrytych rzadką trawą i siwym mchem. Nikt tu nie kosił, ani tu się osiedlał i jedynym mieszkańcem był stróż z dalekiego dworu, pilnujący przylegającego do tych bagien lasu. Właściwie służba jego potrzebną była tylko zimą, gdy lody i mrozy utrwalały moczary, latem nikt tam się dostać nie mógł.

Człowiek mieszkał w szarej, starej chacie na tak zwanym „ostrówku" — nie miał ni ogrodu, ni pola do uprawy — więc dla zabicia czasu polował i łowił ryby. Polowanie nie bardzo się udawało, bo strzelbę miał lichą, dworską, kupioną u kowala za dwa ruble—brakło też często prochu i pistonów—ale kosze na ryby sam sporządzał, misterne, i posiadał łódkę, zrobioną ze starego koryta, więc połów bywał obfity. Rybą się żywił, rybę suszył, i po całych dniach się tem zabawiał.

Zdarzyło się, że niedalako mostu żelaznego, bobrował po rzece, gdy w kwandrans po przejściu pociągu posłyszał na moście jakiś szmer. Podniósł oczy, przesłonił je od słońca i ujrzał w czerwonej łunie zachodu, postać ludzką, idącą po szynach. Człowiek wydawał się bardzo drobnym wśród żelaznego szkieletu—stróż kolejowy zapewne.

Rybak, niewidujący tygodniami sobie podobnych istot, patrzał nań z ciekawością. Był mu zjawiskiem, czemś bardzo możnem i bogatem. Miał pewnie zapałki, tytoń, mógł dostać wódki, okrasy — z ludźmi się nagadać — i wiedział mnóstwo nowin, bo wracał pewnie ze stacji, do swej budki, przy nasypie. Zmrużone od słońca, jastrzębie oczy starego chłopa śledziły szczęśliwca; takby chętnie doń zagadał, spytał—ale było za daleko, za wysoko.

W samym środku mostu człowiek stanął, spojrzał w czarną toń rzeki—chwilę zamajaczył nieruchomy, czarny pająk—na czerwonem niebie i runął w przestrzeń. Rozległo się tępe uderzenie, plusk wody, okrzyk—szamotanie się tonącego. Chłop instynktownym ruchem — chwycił wiosło, odepchnął od brzega swój statek, i cisnął go w stronę wypadku. Jeszcze bełkotała tam woda, burzona walką życia z grobem. Gdy dopłynął jeszcze coś ujrzał w wodzie, przechylił się—podał wiosło. Dłoń je uchwyciła kurczowo—wydźwignął, porwał za rękaw—potem dłoń mu się oślizgnęła po krótko ostrzyżonych włosach — zdołał jeszcze uchwycić kołnierz odzieży, gdy ręka tonącego, puściła wiosło—i całe ciało opadło bezwładem martwoty.

Ale chłop dzierżył kołnierz jak w kleszczach—prąd wody niósł czółno—zepchnął je wnet w zatokę — pod łozy. Tedy chłop pomagając sobie zębami wparł je między krze, zsunął się w wodę—i wywlókł na brzeg topielca.

— A a a — jakiś pan! mruknął zdumiony. Nie dróżnik to był—ale mężczyzna elegancko ubrany — w letnim paltocie i surowym jedwabiu, cienkiej bieliźnie, i żółtych półbucikach. Drugą myślą chłopa było, że ratunek był spóźniony, i że wyciągnął trupa, i bez nadziei, a tylko odruchowo począł go obracać i trząść rozcierać, i zdziwił się, gdy wywołał wreszcie krztuszenie i natychmiast potem wymioty.

— Ot — zaczaiła się dusza! mruknął. Trza zawieść do chaty. Odejdzie do nocy!

Złożył go do czółna, i wiosłować począł. Byli na środku rzeki, czerwonej od zachodu, gdy topielec oczy rozwarł, błędnie się rozejrzał spotkał utkwione w sobie źrenice chłopa i spytał jakby ze zgrozą.

— Kto wy?

— Ryby łowił przy moście, jak pan spadł. Podpłynął — wyciągnął w porę. Do chaty zawiozę. Uratowany począł się trząść jak w febrze; oczy znowu zamknął, wyczerpany.

— Zmarzł z lęku! pomyślał chłop; ściągnął ze siebie siermięgę, i przykrył go.

Gdy czółno przybiło do „ostrówka," musiał go znowu dźwigać i wlec do chaty.

Zmordowany, gdy go ułożył na pomoście z desek przy piecu, gdzie sam sypiał — pokręcił głową markotnie.

— Coś z nim źle się dzieje, pomyślał— ciężki jak ołów, i nie patrzy. Może co sobie odbił we środku, z impetu! Ciepła mu trzeba.

Napalił w piecu, przystawił do ognia garnek z kaszą, leżącego okrył kożuchem i filozoficznie czekał dalszego losu.

Będzie żyć, to sam o sobie pomyśli— a umrze, no — to trzeba będzie dobrnąć na plant kolei—do ludzi—i zdać sprawę.

Wolał to pierwsze, bo i ambaras mniejszy i taki pan pewnie wynagrodzi, i żadnej ciąganiny po urzędach nie będzie.

Wziął się tedy do roboty. Złowione ryby płatał, nizał na łozowe witki — gotował do suszenia, gdy garnek zakipiał — spożył wieczerzę. Na dworze ściemniało, przygasł i ogień — niczem niezmącona letnia cisza nocna ogarnęła pustkę. Chłop zatlił suchą drzazgę — i poświecił na posłanie. Człowiek leżał nieruchomo, ale oczy miał otwarte, tępe i patrzał na sufit.

Na blask odwrócił je, i rzekł.

— Pocoś mnie ratował. (d. c. n.)



WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

Wybraniec losu.

Rzeźbiarz Mizerski siedział zamyślony na ławce w Sąskim ogrodzie. Najmniej spostrzegawczy przechodzień mógł odrazu zauważyć, że go trapiła jakaś ciężka zgryzota. Przedewszystkiem po deszczu, który przez całą noc padał, ławki były mokre, nie nadawały się więc do wypoczynku. Ale bardziej bezpośrednim dowodem stanu ducha zamyślonego rzeźbiarza był wyraz jego twarzy. Człowiek, który miał tak tępe, przygasłe spojrzenie i tak kurczowo zaciśnięte usta nie mógł myśleć już nietylko o obojętnych ale nawet o łagodnie przykrych rzeczach.

Trzeba powiedzieć na pochwałę ludzkości, że przechodnie, którzy mijają na ulicach ludzi o nieszczęśliwym wyglądzie niejednokrotnie nietylko współczują im w duszy, ale nawet starają się domyślać przyczyn ich nieszczęść. Są materjaliści, którym odrazu na myśl przychodzi nędza, głód, brak posady inni o wyższym poziomie wyobrażeń domyślają się zawiedzionych ambicji, nieszczęśliwej miłości, melancholji. Rzeźbiarz Mizerski mógł obie kategorje zadowolić: zawiodły go ambicje i cierpiał najstraszniejszą nędzę. Ale i jedno i drugie mogło wydawać mu się głupstwem wobec ostatniego problematu, który go przejmował beznadziejną rozpaczą—mianowicie chciał odebrać sobie życie i nie miał pieniędzy na kupno rewolweru. O ile śmierć może być wyjściem z każdego położenia to to było jedyne, absolutne położenie bez wyjścia.

Tkwiła w niem też bolesna ironja taka, na jaką z pośród zdolnych satyryków tylko życie może sobie pozwolić. Przyczyną bankructwa życiowego, Mizerskiego, który miał niepospolity talent i wiele szczerego zapału do pracy był wieczny brak materjału rzeźbiarskiego. Z chwilą gdy zżarty przez nędzę postanowił beznadziejne rachunki z życiem zakończyć stawał mu znów na przeszkodzie brak materjału samobójczego. Można sobie wpradzie i za darmo życie odebrać wyskakując z okna, albo rzucając się pod pociąg, prawie żadnego nakładu nie wymaga też powieszenie, bo sznurek od biedy na jakimś śmietniku zawsze znaleźć można, ale Mizerskiemu chodziło nietylko o odebranie sobie życia ale i o rodzaj śmierci. Upór tego rodzaju może razić przeciętną logikę ale nie

należy zapominać, że natury artystyczne bywają skomplikowane. Mizerski chciał zginąć od kuli, jak żołnierz na polu bitwy—inne rodzaje śmierci raziły go swoją szpetotą. Od czterech dni nic już w ustach nie miał i od rana do późnej nocy wałęsał się po mieście z jedną rozpaczliwą myślą w mózgu: skądby zdobyć pieniądze na rewolwer. Niestety nawet w gorączkowych halucynacjach wyobraźni nie umiał znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Wszystko, co mógł sprzedać, dawno już posprzedawał, pozostawało mu tylko jedno jedyne ubranie, ale ono nie przedstawiało najmniejszej wartości a przedewszystkiem nie mógł go się pozbywać, gdyż trudno jest w listopadowy dzień wchodzić do sklepu z bronią, nago. Ktoś inny na jego miejscu uległby napewno pokusom kompromisu i powiesił się, albo skoczył z dachu na bruk, rzeźbiarz jednak był nieugięty, powiedział sobie, że zginie od kuli i chciał postawić na swojem.

Zaciekłość ta dodawała mu nawet sił do znoszenia głodu. I zarazem streszczała się w niej cała tragedja jego życia. Mogło się zdawać na pozór, że natura nie poskąpiła Mizerskiemu żadnego ze swych darów: Był niepospolicie zdolny, inteligenty, miły, sympatyczny, przystojny, silny, dobrze zbudowany, zdrów, wytrzymały, zahartowany, skromny, nieposzlakowanie uczciwy, umiał panować nad złemi namiętnościami, głęboko kochać i jeszcze głębiej odczuwać, ale wszystko to paraliżowała ta straszna choroba ducha, jakim jest moralna sztywność karku. I choroba ta tak była w nim zakorzeniona, że nawet jedyny skuteczny system kuracji głodowej nie mógł jej zwalczyć. Skutkiem tej wady psychofizycznej Mizerski nie potrafił się kłaniać, ani wystawać po przedpokojach, ani zaskarbiać łask niemych protektorów a ponieważ kultura charakteru wymaga pewnych środków pieniężnych, których od dzieciństwa nie posiadał, więc życie jego było jednem pasmem czarnej, nieprzerwanej nędzy.

II.

Był zimny listopadowy dzień, niebo pokryte wielkiemi chmurami, z których wbrew przysłowiu lunął nagle rzęsisty deszcz. To spłoszyło Mizerskiego z ławki. Wyszedł z ogrodu i ciężkim, apatycznym krokiem powlókł się przed siebie, machinalnie kierując się w stronę mieszkania. Jakkolwiek dziwnem się to może zdawać, rzeźbiarz Mizerski posiadał mieszkanie, dość obszerną nawet pracownię, z której go nie wyrzucano, ponieważ gospodarz domu był bogatym hipochondrykiem i domyślał się, że niepozbawiając rzeźbiarza dachu nad głową przedłuża w ten sposób jego egzystencję. Powróciwszy do domu Mizerski rzucił się na posłanie i przymknął oczy. Oczywiście łóżka już dawno nie miał, ale po jednym z przyjaciół młodym poecie, który umarł przedwcześnie zostało mu w spadku kilkadziesiąt egzemplarzy „Poezji". Mizerski miał się zająć rozprzedażą i osiągnięte stąd zyski przeznaczyć na marmur, potrzebny mu do wykucia dzieła, które mu się paliło w duszy. Była to ostatnia wola jego przyjaciela. Ale młody poeta tak wyprzedził swój czas, że o tem aby „Poezje" jego mogły były znaleźć nabywców przed upływem kilkudziesięciu lat, trudno było marzyć. Na makulaturę Mizerski nie chciał ich sprzedawać przez zrozumiały pietyzm, rozłożył je więc umiejętnie na podłodze i nakrywszy jakimś podartym kocem, pozostałością lepszych czasów, urządził sobie posłanie.

Z gorączki i wycieńczenia był już napół nieprzytomny. W pracowni mrok zapadał, po szybach dzwonił melancholijny, listopadowy deszcz. Leżąc na wznak, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, już jakby w trumnie, Mizerski przebiegał myślą całe swoje życie... Jedno pasmo udręczeń, upokorzeń i zawodów, mimo, że miał przecież i talent i szczery zapał do pracy i święte ognie natchnienia w duszy. I nagle zdjęła go niewypowiedziana żałość. Już nie miał sił, aby się buntować i nienawidzieć. Dwie ciężkie łzy spłynęły mu z oczu na rozpalone policzki.

(d. c. n.





GROBOWIEC.

Na mojej drodze — u mych stóp —
Płaz się przewija szary...
Pierścienie zimne sparł o grób
I cielskiem oplótł krzyża słup —
W cmentarne wpełzł opary...

Przechodzień, patrzę w zimny głaz,
Gdzie krwawi Męka boża...
Pierścieni zwoje kurczy płaz —
W mogilnych brózd, kamiennych skaz
Kładąc je wieczne łoża...

Na płycie — liter ryty rząd,
Napisu tajemnica...
Oko nie zdolne widzieć stąd...
Mogilnych, płaz, pilnuje grząd —
Ślepiami im przyświeca...

Z mogilnych głębi słyszę głos — —
Nie słychać słów krynicy...
Pośród djamentów bożych ros
Złowrogo syknął gad: „Tu — los,
Wskazanie Tajemnicy...“

Podchodzę bliżej... syczy gad,
Stróż-szatan losu srogi, —
Z za chmur — księżyca promień padł,
Ujrzałem, wkrąg, przy śladzie ślad
I wydeptane drogi...

Nie dotknął grobu żaden krok,
Nie odczytane słowa...
Za rokiem w przepaść padał rok
I gasł pielgrzymów błędny wzrok —
Bluźniercza cichła mowa...

Przekleństwo!.. Chwytam zimnych płyt,
Szukając słów na grobie....
Zielonych ślepiów mignął świt,
Gad syknął mi złowrogo: „Cyt,
Skryj tajemnicę w sobie...“

I płynie strugą, żądła jad,
Gdzieś w serca głąb tajemną...
Z grobowca głos Słowami padł —
Zabłysło światło!.. syknął gad...
Stała się noc — i ciemno...

Walenty Zieliński.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

47)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Doznał ukłucia w sercu, lecz był to ból, jaki uczuwa winowajca na przypomnienie własnego grzechu, Powstał z klęczek, ucałował raz jeszcze rękę niebronioną i cicho wysunął się z komnaty. W drzwiach się zatrzymał, spojrzał na żonę, jakby oczekiwał znaku jakiegoś, może zwrócenia oczu, może choć cienia uśmiechu — ale pani Dominika leżała nieruchomie na pościeli, trzymając w ręce kwiat śnieżny, który drżał lekko i owiany ciepłem pokoju, błyszczał dwiema kroplami rosy, podobnemi do łez, nabrzmiałych w oczach pani Dominiki.

Kwiat płakał i ona płakała.

Głęboka bruzda zorała czoło wojewody, pochylił głowę i minął próg.

Gdy ciężkie kroki pana Włodka wchłonęło oddalenie, wojewodzina ruchem gorączkowym podniosła się na pościeli i rękę wyciągnęła do dzwonka...

Zabełkotał — —

Przez próg skoczyła, oczekująca znaku tego Perełka.

— Rozsuń firanki... Wiosna ma być na świecie!.. Polata tajemniczy wiew życia i budzi senne — — Ja chcę żyć — żyć — żyć!..

— Pierwszy to dzień, pani! ciepluśki taki, kochany, że jeno patrzeć, jak się sprawdzi bajka Przemkowa, — rzuciła niby od niechcenia Perełka, rozsuwając zasłony.

Błysnęło słońce, szafirem spojrzało niebo — —

— Błękit, słońce!.. wyszeptały, jakby w zachwycie usta pani Dominiki — —

Perełka skoczyła w jej ramiona — —

Wojewodzina ucałowała koralowe usta dziewczyny...

Chciała dźwignąć się z łóżka i wstać, ale sił jej zabrakło. Może rozkołysane serce, może pierś, niemogąca tchu zachwycić, nie pozwoliły jej spełnić tego zamiaru. Przytuliła więc głowę do piersi Perełki, milczała chwilę, walcząc z drżeniem biednego ciała — wreszcie się wzmogła i szepnęła:

— Bajka Przemkowa!.. Nie myślałam o niej... Teraz mi się przypomniała. — Co tam w niej było... Pamiętasz?!.

— O takiej bajce nie zapomina się, pani!..

— Pamiętasz?..

— Troszuchno —

— Powtórz... Powiedz — —

— Chciej tylko — a ja otworzę
drzwi i baśń senną wprowadzę — —
ni ciebie ni jej nie zdradzę
i pieśń zaśpiewem — nie tren!..
chciej!.. ja u stóp twych położę
twój sen!..

— Mój sen!.. szepnęła, jak echo, wojewodzina — —

Chwilę trwało milczenie — —

— Co on miał na myśli, mówiąc to — nie wiesz?..

Dziewczyna zrobiła minkę dwuznaczną, z której można było wywnioskować, że wie i nie wie.

— Coś tam on mi prawił — rzekła — ale widno było, że nie chciał mówić wszystkiego, bo to my, niby gadające jesteśmy — i zaraz: pytlu, pytlu!..

— Zawszeć coś mówił — szepnęła wojewodzina, starając się w głosie obojętność zachować.

— No, jużci, że mówił — —

— Co?

Perełka nie wiedziała od czego zacząć, choć już nieraz w rozmowach, jakie prowadziła z panią, potrącała, niby od niechcenia, o tę bajkę Przemkową, spełniając widocznie polecenie jego, by powoli oswajała panią Dominikę z treścią jej zagadkową. I to się zupełnie udawało Perełce. Zrazu pani wojewodzina nie przywiązywała prawie żadnego znaczenia do tej bajki, przygodnie wypowiedzianej; później zaczęła się w niej dopatrywać tajemnicy jakiejś, umyślnie ukrywanej, jakiejś wróżby, która spełnić się może, byleby tylko *ona*, zechciała. Przygodna bajka ubierała się powoli w szatę rzeczywistości, z krain fantazji na ziemię schodziła; nad jej znaczeniem więcej pracowało serce, niż rozum i całem sercem wchłonęła ją w siebie pani Dominika. Stała się już ona jedynym pokarmem, jedynym czarem jej samotnego życia, mistycznym kwiatem marzeń, odurzającym zmysły tajemniczą wonią swoją. Z dziecięcą wiarą w mający się spełnić cud jakiś, wojewodzina czekała wiosny, jej pojawienia się zbawczego — i tak do tej myśli przywykła, że pierwszy pokazany jej przez męża kwiat pierwiosnka, do stłumionego okrzyku ją przymusił i senne, niepewne nadzieje zmienił w pewność zbliżającego się dnia cudu. Nie ocieniały obrazów wyśnionych i dzisiejsze słowa Perełki; zdawało się pani Dominice, że między Perełką a Przemkiem jakaś cicha umowa zapadła, której wynikiem ma być oswojenie wojewodziny z czemś, co się stać musi, co jest koniecznością jej życia. Doszedłszy do tego przekonania, żadnych już tajemnic mieć przed sobą nie chciała, bo to już byłoby męką do niezniesienia. Przygarnęła się więc do Perełki i gładząc jej włosy złociste, szepnęła do niej głosem pieszczotliwym.

—Już nie ukrywaj nic przedemną—nic!.. Bajka Przemkowa nie była bez myśli wypowiedziana, ktoś go namówił do niej... i—dobrze, że namówił — dodała bardzo cicho — dobrze... że namówił!.. Spełnia się wszystko tak, jak bajka chciała... Mówiła o wiośnie-- jest wiosna!.. mówiła o wierze—jest wiara!.. Drzwi stoją otworem... niech wejdzie cudczar!.. Nie ukrywaj nic już przedemną... Mów wszystko, o czem on tobie mówił!..

Milczenie, wahanie się były odpowiedzią Perełki.

— Chcesz, żebym się rozpłakała? rzekła z wyrzutem wojewodzina — —

— O nie — nie!.. zawołała Perełka —

(d. c. n.)

Księżyc, sypiący złotem, bajkowy czarodziej...

Księżyc, sypiący złotem, bajkowy czarodziej,
Gwiaździstej, włoskiej nocy senny, cichy doża,
Rzucił na aksamitne, czarne kiry morza,
Szeroki, złoty dywan, po którym Baśń chodzi...

Baśń, która tutaj przyszła z krainy dalekiej,
O której gędzą Gwiazdy płomiennemi runy,
Baśń, co utkane lica ma z miesięcznej łuny,
I szmaragdowe włosy, rzęsy i powieki...

Chodzi po złotym szlaku ze swą siostrą cichą,
Moją, czarem tej nocy ukojoną duszą...
I obie złocistemi perłami łez prószą,
Niby złotą, żarzącą, baśniową ognichą...

Wacław Wolski.



JAN LEMAŃSKI „PIJAŃSTWO".

Pije Kuba do Jakóba,
Jakób do Michała.
Piła Polska i do dziś
Pić nie zaniechała.
Bo w Polsce bez szynku,
Nic nie zrobisz, synku.
Bez pijaństwa,
Proszę państwa,
Niema tu uczynku!

Pije Michał do Jakóba,
Do Michała Jakób.
Mimo, że to nasza zguba,
Rośnie trunków zakup.
Kto odebrał gażę,
On światu pokaże,
Co jest życie,
Należycie
Cieszą się szynkarze.

Pije Kuba do Michała
A Michał do Kuby.
Nasza Polska ukochała
Szał pijaństwa luby.
Tu od rzemieślnika,
Aż do naczelnika,
Wszystko pije,
Aż kopije
Z wódką popołyka.

Do Michała pije Franek
A Franek do Jana.
We dnie, w wieczór, w noc i ranek
Polska, jak pijana.
Szynki, kabarety,
Jest ich tu, że rety.
Choć nas trują,
Prosperują:
Toć to nie sekrety.

Pije Kacper do Anzelma,
Anzelm do Marcina,
Chociaż trunek z nóg cię szelma
Niezawodnie ścina.
Niech tam, raz śmierć kozie,
Utońmy w narkozie,
Bo bez picia,
Szkoda życia,
Jak miłuję Bozię.

Pije Piotr do Ignacego,
Ignacy do Błażka.
Niema dziś niepijącego,
Wszystkim miła flaszka.
Pijmy, pijmy szalej
Najnieopieszalej.
Bez kielicha
Dola licha.
Nalej, nalej, nalej!..

Siedzi Piotr i Roch przy winie,
Wit i Gaudenty.
Bierz i ty z nich wzór, Rufinie,
Nie chodź jak odęty.
Życia dość podłego,
Pij do upadłego.
Troska skubie,
Hej, Jakóbie,
Pijmy na całego.

Pije Józef do Leona,
Leon do Dydaka,
Wódka szkodzi, ale ona
Jest przyjemna taka.
Jak mówią parochy,
Po życiu z nas prochy.
Gdy to zważysz,
Pij towarzysz,
Do ostatniej trochy!

Pije Maciej do Kanuta,
Kanut do Konrada.
Na pijaństwie jest osnuta
Każda tu narada.
Z trunkami kawiarnie
Wspierajmy ofiarnie,
Wnosić wkłady
W te zakłady,
Warszawa się garnie.

Pije Prosper do Idziego,
Idzi do Edmunda.
Pantaleon — tam znajdzie go,
Gdzie knajpa i funda.
Tytus i Bazyli
Grosz swój w to włożyli.
Ich przykładem
My z swym wkładem
Również pospieszyli.

Pije Marek do Szczepana,
Łukasz do Edwarda
Pommerego sec szampana
Daj, bo dola twarda.
Potem dasz, lokaju,
Starego tokaju.
Prędzej lejże,
Pijmy hejże,
Bo niedola w kraju!

Dobry trunek na frasunek,
Dobry i na radość.
Ten do picia nasz stosunek:
Nigdy pić nie zadość.
Ból, czy radość gniecie,
Upić się pragniecie.
Czyjąż winą,
Że jest wino
I wódka na świecie?

MICHAŁ CZAJKOWSKI — SADYK-PASZA.

9)

ZARAZA.

Miałem przy sobie dar dla Eminy i ten dar leżąc mi na sercu, odświeżył przed oczami duszy obraz Huryski. Ona mi stała przed wzrokiem myśli, i we śnie i na jawie, taką, jaką była przy naszem rozstaniu się: z jaskrawem okiem, z zarumienionem licem, z kruczym włosem, rozpuszczonym na ramiona, z jataganem w dłoni. O jakże jej będzie strojnie, z brylantowem słońcem, z rzekami koralowemi. I już mi nic nie było innego w myśli, tylko jechać do Islambolu z darem.

Stara matka mi zachorowała, jam był u niej jedynakiem, ona mnie wykarmiła swoją piersią, ona mnie hodowała, bo ojciec hajduczył i na hajduczce zaginął bez słycha, bez wieści. Stara matka zrobiła ze mnie i momaka i junaka. Ona mnie jednego miała na świecie i ja, ją jedną tylko miałem i tę mi Bóg zabrał. Zamknąłem oczy i pogrzebałem na cmentarzu, gdzie spoczywali nasi. Sam jeden zostałem na tym Bożym świecie, z moją miłością, z moim darem, z troską życia, z smutkiem po starej matce. Żyjącym towarzyszem był mi koń mój stary, koń hajducki, czystej krwi Deliormaniec — puściłem się do Carogrodu.

Wjeżdżałem do Islambolu przez Kiuczuk Kioj, to nasz szlak hajducki i armancki, bo i to naród cały hajduków. W Hanach i w Bakałach [43]) można znaleźć towarzyszy i ja znalazłem Czarnego Tanasza, greka z Tessalji. Jechał do Teneru [44]) przybrany w sajetę, na dzielnym koniu, choć sam był brzydkim jak poczwara. Zaraz mnie poznał, zeskoczył z konia i do kolana mi się skłonił, uszanował dawnego naczelnika. Pytam, co porabia, czy zdrów, jak się mu wiedzie?

Rękę przykładał do czoła na pokłony temenachy podziękowania.

— Zdrów chwała Bogu, jestem na twoje usługi, dobrze mi się wiedzie, jestem sofradżyk[45]) u Ibrahim Paszy, ożenionego z Fenerką Eminą, córką Salih Beja.

Pociemniało mi trochę w oczach, ale hajducka twarz nie pokazała wzruszenia. Pytam o Salih Beja. — Zdrów, przesiaduje w konaku u zięcia. Pytam o Ibrahim Paszę. — Zdrów, w znaczeniu, w łaskach u Seraskiera a nawet u samego Padyszacha—rozumny, cudzoziemskiemi językami mówi, jak swoim własnym, komenderuje wojskiem w stolicy i jest Terykiem [46]) ma dzielne dzamety i złociste karety. Seraskier mu częstym gościem, Ibrahim Pasza, czelny między Paszami, Bóg go obdarzył rozumem, urodą, odwagą, bogactwem, a nadewszystko łaską Pańską. — A Hanuma? [47]).

Z początku była dzika, niedostępna, niepojęta, ale pomału, pomału ugłaskała się; stroje, biesiady, spacery a potem przyszły dzieci: syn i córka i teraz wszystko dobrze idzie. Niech Bóg da jej zdrowie, dobra pani, szczodra, piękna między najpiękniejszemi. Pasza byłby najszczęśliwszym, szczęśliwszym od samego sułtana, gdyby... I zatrzymał się i obejrzał się na wszystkie strony, dokoła.

— Cóż takiego?

Z cicha przemówił: gdyby nie rakija. W dzień nasz Pasza, pierwszy między paszami, najświetniejszy między nimi, ale po wieczornym namazie, sto drahm, dwieście i oko, najmocniejszej rakji jak nic wypija, wala się pijanica z towarzyszami pijanicami i chce żeby piękna Hanuma była im Huryską siódmego nieba. Salih Bej do porządku przyprowadza, ale to się powtarza co wieczór.

Słuchałem tej wieści o pijaństwie Ibrahima Paszy, całem uchem i serce ściśnięte bólem przychodziło do siebie—wstępywała nadzieja — oswobodzę, uwiozę i będzie moją.

Słońce brylantowe z koralowemi rzekami, wieniec oblubienicy Madżarki, poślubionej śmiercią z mojej ręki, był złożonym w pudełku z jaszczura, dobrze zamkniętem, oddałem czarnemu Tanaszowi.

— Słuchaj, oddasz to Hanumie Eminie, to dla niej przysłano z daleka, niech otworzy pudełko jataganem a będzie wiedziała od kogo — a powiedz i oddaj, bo biada ci stokroć razy biada jeśli rozkazu niedopełnisz — choć jesteś moim pobratymcem hajduczki, moim druhem, jatagan mój zapozna się z tobą, jak się nie z jednym zapoznał — ty wiesz o tem, ty mnie znasz—moje słowo to czyn—ruszaj.

Pojechał i mnie było lżej na sercu, i spoczywałem do białego dnia jak w dobrych czasach hajduczki.

Konia, towarzysza lat tylu, przedałem a raczej darowałem arnaucie, on do mnie zarżał, ja do niego westchnąłem i poszedłem na pieszo do Carskiego grodu. Wiedziałem gdzie konak Ibrahima Paszy.

Przyszedłszy do słodkich wód, (Kiat hosze) Siadłem na Kaik (czółno) i przybiłem do nowego mostu—zaledwie most przeszedłem, na placu przed Jenidżumą, przeleciała koło mnie kareta ciągnięta dwoma siwojabłkowitemi końmi, oko moje sokole, zerknęło w karetę, tam Hanuma, hanuma Emina, ona sama z czarnymi brylantami swoich oczów, ze słońcem brylantowem i z rzekami koralowemi w swoich uroczych włosach—pokrywał jej lico, jaszmak 48) jak tkanka pajęczyny, jak mgła wiosenna wokoło kwiecia róży. Ona sama i nie patrzała na mnie, nie spotkały się nasze oczy, oko z okiem. Ona sama, i wzrok mnie nie mylił i serce nie myliło, stałem jak wryty, o mało mnie nie rozjechał odkryty powóz, w którym jechał Salih Bej z Ibrahimem Paszą. Bej mnie poznał i ja go poznałem, powóz zniknął, stałem w miejscu, kiedy dwaj hawasi (żandarmy) zbliżyli się do mnie i nagle, znienacka, chwycili w objęcia jak serdecznego przyjaciela.

— Zdrów. Kiuczuk Mustafa jak się masz, chodź z nami.

Nie było co się opierać, trzeba było iść z nimi, bo już ich było więcej dwudziestu i byłem rozbrojonym nimem pomyślał o broni. Wprost mnie zaprowadzili do konaku policji i stawili przed Muszyrem groźnym Mehmed Paszą. Starzec ten przed laty był wielkorządcą Rumelji, potem Paszą Janiny, właśnie wtenczas kiedy ja gospodarzyłem w tych krajach(49).

(d. c. n.)

43) Han—dom zajezdny. Karczma. Bakad. Kupiec Korzenny, gdzie się przedają raki i wszystkie wódki, rozmaite zakąski.

44) Tener-Fanar przedmieście Konstantynopola nad odnogą Złotego rogu—gdzie mieszka starodawna Arystokracja Grecka zwana Fanariosami.

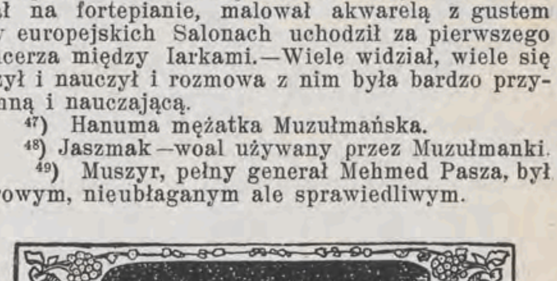
45) Sopradży-Kredeszcerz—zajmujący się nakrywaniem stołu i chronieniem przyborów stołowych nazwanie pochodzi od Stołu—Sofra

46) To co jest powiedzianem o Ibrahim Paszy jest najściślejszą prawdą—w r. 1854—z powodu znajdowania się wojsk sprzymierzonych Francji, Anglji i Włoch w stolicy był on naznaczonym dowódcą, jako znający doskonale, wszystkie języki cudzoziemskie—i obyły z życiem salonowem. Wszyscy z niego byli zadowoleni, bo był grzecznym uprzejmym i uczynnym — miał dobre serce i lubił wszystkich ludzi bez różnicy zobowiązywań — ale nieszczęśliwy nałóg pijaństwa w nocy, był u niego posuniętym aż do szaleństwa — był on Generałem Dywizji czyli Generał-Lejtenantem—Ierynkiem ładnie grał na fortepianie, malował akwarelą z gustem i w europejskich Salonach uchodził za pierwszego tancerza między Iarkami.—Wiele widział, wiele się uczył i nauczył i rozmowa z nim była bardzo przyjemną i nauczającą.

47) Hanuma mężatka Muzułmańska.

48) Jaszmak—woal używany przez Muzułmanki.

49) Muszyr, pełny generał Mehmed Pasza, był surowym, nieubłaganym ale sprawiedliwym.



ERNEST HARDT.

Fatęma.

(Z niemieckiego).

Trzej starsi panowie już chwilę siedzieli milcząc nad swymi kieliszkami. Pytanie, które dopiero co padło, było przyczyną tego milczenia.

— Na pytanie twoje—powiedział pan von Werndorf—muszę odpowiedzieć całą historją. Właściwie, nie wiem sam, jak to się stało, że nigdy, mimo długiego obcowania z wami, dotychczas nie mówiłem o tem, najładniejszem mojem wspomnieniu młodości... Obrączka, o którą pytasz, drogi Rydzie, jest obrączką ślubną pewnej arabki, która ze mną zdradziła swego małżonka.

Po tych słowach nastąpiło znów długie milczenie. Ale nagle obu gościom p. von Werndorfa poczęło się zdawać, że na dworze musi być niepogoda.

— Zdaje mi się, że deszcz pada — rzekł jeden z nich.

Podeszli do okna, ale niebo było jasne i usiane gwiazdami.

Pan von Werndorf, ktory podczas przerwy patrzył przed siebie, teraz rzekł:

— Opowiem wam historję tej namiętności, czy też tego snu.

— Ależ, kochany Werndorfie — dał się słyszeć jeden z głosów.

— Daj pokój, Herzbergu, teraz, po latach, nie będzie mi już tak trudno podzielić się tem wspomnieniem, przeciwnie, cieszę się, że wam tym razem opowiadam moje czysto osobiste przeżycie.

Starzy panowie wygodnie usadowili się w fotelach i napełnili ponownie kieliszki, aby nie przeszkadzać w opowiadaniu.

— Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat — zaczął pan Werndorf—kiedy z Andaluzji zrobiłem wycieczkę do Marokka. Razu pewnego powiedziałam mojemu przewodnikowi, że chciałbym zobaczyć tańczące arabki. Ale otrzymałem zapewnienie, że żadna arabka nie zgodzi się tańczyć i obnażać się wobec cudzoziemca, gdyż religja zabrania im tego.

Że mi jednak kiedyś powiedziano coś wręcz przeciwnego zwróciłem się więc do pewnego przewodnika hiszpańskiego, który mi już na wieczór przyrzekł zwiedzenie pewnego domu żydowskiego, gdzie arabki za pomocą tańca wobec cudzoziemców, wzbogacają swoje gospodarstwo i klejnoty.

Ale, powtarzam; tylko za pomocą tańca. Arabka, zarówno jak cyganka w Hiszpanji, rzadko sprzedaje swoje względy synom obcego narodu.

Gdybym mógł wam opowiedzieć, ile szczególnegó ma w sobie dla europejczyka pobyt w Marokku, odczulibyście to zdenerwowanie, jakie naówczas przechodziłem.

O ósmej zjawił się mój przewodnik, aby mnie odprowadzić na miejsce, gdzie miała mi odsłonić się jedna z tych białych, wysmukłych zagadek, które widywałem na ulicach...

Ulice były puste i martwe i tylko tu i owdzie dochodził arabski śpiew ze szczelnie zamkniętych domów, z których każdy krył tę właśnie oliwkową, odurzającą zagadkę.

Dwa razy zaczepili nas ubodzy, którzy wyłazili z jakiegoś brudnego kąta... Z meczetu dolatywał szmer świętej fontanny i niewyraźny szept modłów, jak tchnienie serca obcego Boga. Myślałem sobie, że wystarczy tylko przestąpić próg tego domu, aby umrzeć,—i mróz przeszedł mi po ciele.

Mój przewodnik uprzednio zagasiwszy latarkę, wszedł ze mną do jednego domu w żydowskiej części miasta.

W dużym, pokrytym słomiankami przedsionku przyjęła nas stara żydówka, aby natychmiast zaprowadzić na górę, gdzie weszliśmy do długiego, wązkiego pokoju, całe urządzenie którego składało się z jednego krzesła.

Mój przewodnik zawiadomił ją po arabsku o mojem życzeniu i żydówka natychmiast się oddaliła.

Dosyć długą chwilę pozostawaliśmy sami. Przewodnik mój coś mi opowiadał, lecz ja wciąż nasłuchiwałem; nakoniec dały się słyszeć kroki, drzwi się otworzyły, ale w nich ukazała się ta sama żydówka. Zaczęła mówić z moim przewodnikiem, wzruszała ramionami, mocno gestykulowała, a w końcu zwróciła się do mnie po hiszpańsku:

— „Nie mogę panu nikogo dostarczyć do tańca."

— Dlaczego nie może pani?

— Bo w mieście są tylko dwie arabki, które się temu oddają, mąż jednej jest obecnie w domu, druga zaś leży w połogu. — Ale mogę panu dostarczyć żydówkę, która również..."

Przerwałem jej mówiąc, że nic mnie to nie obchodzi, i zacząłem prosić i błagać, aby skąd tylko chce wydostała arabkę i przyrzekłem podwyższyć umówioną sumę.

Po długim namyśle żydówka znów się oddaliła.

Przez ten czas wsłuchiwałem się w ponury święty śpiew wieczorny, który z wieżycy meczetu rozbrzmiewał ponad dachami miasta...

Trwało to wieczność, zanim wróciła...

Nakoniec zjawiła się.

— Nie, mój panie, teraz już nikogo nie znam—powiedziała zwracając się do mego przewodnika—byłam u Fatemy, która przed dwoma miesiącami wyszła za mąż. Mąż jej przed pięciu tygodniami wyjechał wewnątrz kraju, ale ona za nic nie zgadza się.

Przewodnik mój wzruszył ramionami i chciał znów zapalić latarkę; ale ja pałałem taką chęcią, że wystąpiłem jeszcze raz z propozycjami. Ale żydówka potrząsnęła głową i trwała przy swojem. Nie wiem sam jakim sposobem, wyjąłem złotą monetę, wetknąłem ją w rękę żydówki i rzekłem:

— Proszę iść jeszcze raz do Fatemy i powiedzieć jej: cudzoziemiec, który z za morza przybył do arabów, musiałby po powrocie do ojczyzny powiedzieć swoim: „Widziałem tylko woalki i burnusy kobiet arabskich, tylko Bóg

i ich mężowie raczą wiedzieć, czy urodę czy też brzydotę pod niemi ukrywają."

Żydówka spojrzała na mnie z uśmiechem i, jak mi się zdawało, z podziwieniem, i odeszła.

Po co to wszystko, nieprawdaż? Co zależy właściwie na tańczącej kobiecie? Nie wiem, ale wtedy zdawało mi się, że całe moje życie od tego zależy.

Śpiew z meczetu przebrzmiał. Zdala usłyszałem dzwonek u drzwi i uderzenia własnego serca, które jakby biło w pustej przestrzeni. Zresztą—panowała cisza.

Żydówka znów ukazała się we drzwiach, które pozostały otwarte. Za nią swobodnym krokiem, jak gdyby szedł sam taniec, postępowała wysoka postać. Weszła, nie spostrzegając mnie wcale. Zdjęła burnus z ramion i powiesiła go na ścianie. Wtedy ujrzałem twarz... to była właśnie Fatema.

Żydówka, zamknąwszy za sobą drzwi na klucz, usiadła na ziemi pod ścianą, między kolanami ściskając jakiś przedmiot, z którego poczęła tony zapraszające. Był to garnek bez dna, pokryty natomiast skórą zwierzęcą. Przewodnik mój stał w kącie, tak że nie odczuwało się wcale jego obecności; właściwość wszystkich południowych przewodników.

Usiadłem na krześle.

Fatema rozbierała się ładnymi, powolnymi ruchami, ruchami iście książęcymi; zostawiła tylko długą, przezroczystą koszulę, usianą w małe wyszyte kwiaty.—Zachowywała się tak, jakby była sama jedna; na mnie dotychczas nie spoglądała.

Zdjęła pantofle i, gdy twarz jej przyjęła wyraz ostry, nawet zły, małymi krokami szła ku środkowi pokoju.

Dźwięki bębenka stały się głośniejszymi i zwięźlejszymi. Ogrzewająca, życiodajna siła biła od jej wysmukłych, ciemnych członków, przeglądających przez materję koszuli. Stopniowo rozbudzał się w niej taniec, wyprężała się i rozciągała, jak piękne dzikie zwierzę, które budzi się po śnie w słońcu.

Fatema zdawała się być tutaj tylko dla siebie, oczy jej bez ruchu spoczywały na ścianie ponad moją głową, powieki opuszczały się od czasu do czasu, jakby rzęsy im zbytnio ciążyły.

Teraz, stojąc na miejscu, kołysała się Fatema i wyginała, jak kwiat pod tchnieniem wietrzyku podnosi się i gnie znów w szlachetnych, przeciągłych łukach.

A dźwięki stawały się wciąż głośniejszymi. Fatema postępowała to tu, to tam, później naprężyła ciało tak, że zdawało mi się, że pęka, potem rozłożyła je miękko w powietrzu, a potem jęła się zwolna okręcać. Wtedy na plecach poprzez materję, widziałem mnóstwo tkanych kwiatów...

Rozpoczął się taniec. Koszula stoczyła się z ramion: Fatema odsunęła ją nogą po ziemi daleko, aż do kąta pokoju.

Młode ciało kołysało się przedemną w cudownej nagości, na piersiach tylko pozostała czerwona chusteczka.

Każdy dźwięk instrumentu zdawał się bić jej członki i ranić; zdało się, że chcą one uniknąć tego, ale uciec nie mogą.

Oczy moje ślizgały się po tej unoszącej się w powietrzu kości słoniowej, którą noce uczyniły ciemną, a rosa—miękką i rozciągliwą. Widziałem, jak smukłe ramiona wyciągają się w powietrze, jak gdyby chwytając tam niewidzialne jaskółki. Mięśnie ściągały się i drżały, naprężając lśniącą skórę, jakby chciały dowieść, że wszędzie są one zarówno gładkie i bez skazy. Naraz ruchy stały się znow powolniejszymi, jak gdyby ciało jej zmogły wieczorne, ciepłe fale.

Zdawało mi się, że przedemną ożyła statua marmurowa i patrzyłem na nią z zachwytem. Zrozumiałem powoli, że to jest człowiek, że to jest kobieta. Zrozumiałem to ja, który widziałem ludzi po europejsku, to jest, jako głowę i kilka gałganów materji.

Spojrzenia moje całowały to ciało, ślizgały się się po niem oczarowane i płonące, jakby chcące zobaczyć krew pod skórą, wywabić ją, aby w gorących kroplach spłynęła po ciele.

I Fatema czuła moje oczarowanie.

Wzrok jej ześlizgnął się ze ściany, spoczął na mej twarzy — i wtedy oczy moje oderwały się od jej ciała i spojrzenia nasze spotkały się. Zatrzymały się na sobie, przenikały się wzajemnie i zagłębiły się w sobie. Coś nowego odezwało się w nas.

Dźwięki bębenka snać zrozumiały to i pędziły z zawrotną szybkością. Wargi Fatemy pałały, oczy jej wprost przekłuwały moje i płomienie z oczów naszych przedostawały się do ciała. Wtedy taniec jej nabrał duszy. Widziałem tę duszę, jak drgała w odurzonem ciele, jak chciała wydostać się z zamknięcia, jak miotała nią burza.

Uderzenia bębenka stały się upajającemi, huczliwie wybijały takt tańczącemu przedemną upojeniu. Popędzały ciało, które teraz nie tańcom, lecz mnie się radowało. (dok. nast.).





REMIGJUSZ KWIATKOWSKI.

POEZJE WACHLARZOWE *).

(Z chińskiego).

DŹWIĘKI CZYFANU.

Siedzę na złomie granitowej skały i słucham, jak grają hen w dali na czyfanie...

Ongi słuchałem tej muzyki razem z kochanką. Tuliła się do mnie w serdecznym zapale, a długim warkoczem oplatała mi ramiona...

Lecz niema jej teraz...

Daremnie czekam na nią wśród barw, woni i dźwięków wiosny, które tak wielbiła za życia...

O, nie zapytam muzykantów, grających na czyfanie, czy znali moją kochankę!..

Czy pyta kto wiosną słowika, komu śpiewa swe pieśni nocne?

NIEWOLNICA.

Tyle razy ją porzucałem i tyleż razy wracałem do niej znowu... Teraz już ona wie, że nie opuszczę jej nigdy...

A jednak nie kocham jej, nienawidzę!... Gdyby zmarła, byłbym szczęśliwy i wolny...

Czy znasz ból łkania na piersiach kobiety, którą pieścili inni? Czy znasz srom bezsilności wobec tej, z którą cię skuło jedynie piękne jej ciało?..

Uderzyłem ją dzisiaj, lecz cudowny blask zalśnił w jej oczach... Wpiłem się w słodycz jej warg i nigdy jeszcze tak upojnym nie był jej całunek...

Gdy miotam przekleństwa, ona się przeciąga leniwie i słodko... Gdy chcę miażdżyć jej kochanków, ona śpiewa wesołe piosenki...

Gdy wołam, że zniszczę siebie, że się zabiję, ona mnie pyta obojętnie: „A cóż się stanie z zasianym ryżem?“

I trwam wśród hańby i sromu, i czekam, aż wyschnie jej ciało, jak wysycha ryż na polu.

*) Oddawna istnieje w Chinach, zachowany po dziś, zwyczaj ozdabiania poezją wachlarzy. Na nich częstokroć przechowują się najpiękniejsze klejnoty chińskiej liryki, czego dowodem dwa powyższe mikropoematy.



R. KIPLING.

Moja własna opowieść o duchu.

Czytelnicy niewątpliwie słyszeli już coś o panu Walterze Besant, który życie swoje poświęcił badaniu wewnętrznej istoty ludzkiej; przedewszystkiem zaś zajmuje się duchami. Bohaterowie jego, w sposób nader przyjacielski rozmawiają z widmami, a niekiedy nawet formalne z niemi prowadzą flirty.

W Indjach, jak wiadomo, strachy ukazują się pod różnorodnemi powłokami, jako ciała tłuste, zimne, kleiste, i kryją się najczęściej w pobliżu szlaków, nawiedzanych przez podróżnych. Na widok wędrowca rzucają się one na niego i czepiają się jego szyi. Niekiedy grasują tam potworne widma kobiet, które zmarły w słabości. Gdy noc zapada błądzą po gościńcach, lub ukryte w krzakach, w pobliżu miast, zwodniczo nawołują przechodniów. Lecz biada temu, co da się zwieść tym maniącym głosom. Czeka go zagłada na tym, ba! — nawet i na tamtym świecie!

Są tu też duchy noworodków zatopionych w studniach; te straszą wśród cembrowin, oraz na skraju dżungli. Lamentują one w noce gwiaździste, lub udają żebraków na drogach publicznych.

Upiory te wraz z widmami są zwykłem zjawiskiem w tym kraju, nigdy nie napastują sahibów. Nigdy też się nie zdarzyło, aby duch taki niepokoił anglika, jakkolwiek duchy angielskie niejednokrotnie mąciły już spokój białych, a nawet czarnych.

Każda prawie stacja pocztowa posiada swego wyłącznego ducha.

Simlę obrały sobie za siedlisko dwa widma, nie licząc upiora kobiety, która dmie w miech. Musora posiada gmach, w którym grasuje nader ruchliwy upiór, około zaś jednego z domostw Labory czuwa stale biała dama, która widocznie upodobała sobie owo stróżowanie. W Dalbury, jak mówią, co noc rozgrywa się dramat w przepaści, którego pastwą stał się jeździec wraz koniem; w obrębie Murrei przebywa strach figlarny, ponieważ zaś ostatnio miasto to nawiedzone zostało przez zarazy — przybędzie mu niezawodnie strach—melancholijny.

W dzielnicy oficerskiej Mian Miru, drzwi same się otwierają, meble skrzypią, bynajmniej nie wpływają na to upały czerwcowe, jeno istoty niewidzialne.

W Pesharze istnieją lokale, których nikt nie chce wynajmować, a jeden z domów w Allahabadzie stał się pastwą czegoś gorszego od gorączki. Co do dawnych prowincji, chaty ich literalnie roją się od duchów, a całe armje widm krążą na przestrzeni głównych arterji ruchu.

Niektóre ze stacji pocztowych t. zw. „dâkbungalów na Wielkiej Drodze, wstrętny niemal przedstawiają obraz. Stare są i cuchnące, a ich „khansamah“ ugina się pod ciężarem lat.

Niekiedy ogarnia go gadulstwo, właściwe sędziwemu wiekowi, to znowu, co chwila zapada w drzemkę.

Tak, czy owak jest do niczego. Gdy go ofukniesz, wnet zacznie bzdurzyć o sahibie, który zmarł trzydzieści lat temu, i zapewni cię, że gdy jeszcze służył w wojsku, żaden „khansamah“ z okolicy nie potrafił mu dorównać. Poczem usługując, paple, krzywi się i drży, aż poczynasz żałować swego uniesienia.

Zagrody owe, dobrze dają się we znaki, zwłaszcza, że są siedliskiem duchów.

Otóż, znalazłem się raz w obrębie tych indyjskich stacji pocztowych i kolejno je zwiedzałem. Coprawda w żadnej z nich nie spędziłem nawet trzech nocy z rzędu, lecz poznałem cały ich poczet.

Mieszkałem w budynkach rządowych. Ściany ich były z cegieł, sufity podparte belkami, a u wrót witał cię wijący się okularnik.

Niekiedy przebywałem pod dachem opuszczonych pałaców. Poprzez zbite szyby dochodziło wycie wiatru, to znowu figurowałem w księdze gości takiego domu, w którym od roku nie zanotowano żadnego obcego przybysza i gdzie łeb koźlęcia przeznaczonego na stół, mieczem odrąbywano od tułowia.

Ponieważ sprzyjało mi szczęście, spotykałem też różnego rodzaju ludzi, począwszy od trzeźwych misjonarzy i dezerterów, którzy uciekli z regimentów brytańskich, a skończywszy na pijanych włóczęgach, ciskających butelki w przechodniów; mało też brakowało, a byłbym świadkiem narodzin.

Będąc już oddawna przekonanym, że większość tragedji naszego żywota rozgrywa się w obrębie „dâkbungalów“, dziwiłem się, żem dotychczas ani jednego ducha nie napotkał. Coprawda każde widmo, straszące w indyjskiem domostwie, musiało być niespełna rozumu, lecz tyle już ludzi uległo rozmiękczeniu mózgu, że odpowiedni też zapewne istnieje procent zwarjowanych widm. Mężczyzna wrażliwy nie powinien nocować na indyjskiej stacji, chyba że się ożeni. Zagroda Katmal była stara, spróchniała i chyliła się do upadku. Zamiast podłogi widniały rozpadające się cegły, ściany były czarne i brudne, a okna zakopcone.

Znajdowała się ona na drodze, uczęszczanej przez krajowych podkomisarzy różnego rodzaju, wydziału leśnego i finansowego.

Gdy przyjechałem, była obrzydliwa pogoda. Wiatr ciskał mi w twarz strumienie deszczu. W dodatku, na mój widok „khansamah“ najzupełniej utracił głowę.

Był on sługą sahibów. Czy znałem jego pana? Powiedział mi, jak się nazywał jegomość pogrzebany przed ćwierć wieku z górą i pokazał dagerotyp owego człowieka w przedhistorycznej młodości. Podobiznę tę widziałem już na czele dwutomowych pamiętników.

Dzień był na schyłku, więc „khansamah“, zajął się mojem pożywieniem. Podając mi jadło nazwał je „ratub“ psią strawą, a nie „khana“— strawą ludzką. Prawdopodobnie zapomniał jaka była nazwa właściwa.

Podczas, gdy on był zajęty ćwiartowaniem jakiegoś ochłapu, począłem się szykować na noc, uprzednio dokładnie zbadawszy dom.

Mieszkanie składało się z trzech izb, z wyjątkiem mojej, stanowiącej coś w rodzaju alkowy.

Cały „bungalow“ zbudowany był solidnie, z wyjątkiem cienkich i lichych przepierzeń pomiędzy izbami. Każde poruszenie, odgłos rzuconego pakunku — wrzawą napełniały mieszkanie, a echo dalekich kroków, potrzykroć odbijało się o ściany. Zamknąłem drzwi. Światło świec łamało się w pryzmatach szklanych, a olejna lampka nocna tliła się migotliwie.

Nędza wyglądająca niemal z każdego kąta zajazdu wywierała przygnębiające wrażenie. Zapomniano tu o kominku, okna otwierały się ciężko, a więc i ognisko na nicby się nie zdało.

Deszcz szlochał, wiatr wył i jęczał dokoła domu, a palmy szemrały i szumiały. Chyba z pół tuzina szakali, wyło śród ogrodzenia, a hjena, stojąc zdala, wtórowała im zajadle. Taka hjena potrafi przekonać najbardziej upartego niedowiarka o zmartwychwstaniu, nawet najgorszego gatunku nieboszczyków. Później przyszła kolej na „ratub“, ciekawe jadło, nawpół krajowe, nawpół angielskie, ze starym „khansamah'em“, paplającym za mojem krzesłem, o zgasłych w tym kraju anglikach, podczas gdy wicher gasił świece, wikłając w grę w „ślepą babkę“, łóżko oraz siatkę, chroniącą od moskitów. Słowem był to ów rodzaj posiłku i wieczoru, który daje ludziom czas do myślenia i szczegółowego rozważania grzechów *już* popełnionych i niepopełnionych *jeszcze*.

Nie mogłem usnąć. Lampa rzucała dziwaczne cienie na pokój, a podmuchy wiatru niedorzecznie bredziły.

W chwili, gdy jednak zmysły moje zaczęły tężeć, usłyszałem następujące zdanie: „Weźmiemy ją i poniesiemy“—wyrazy, jakimi posługują się tragarze lektyk.

Naprzód wniesiono jedną lektykę, później drugą, wreszcie trzecią. Słyszałem jak lektyki postawiono na ziemi, a okiennica na wprost moich drzwi zgrzytnęła nagle.

— Ktoś chce tu wejść—rzekłem. Lecz nikt się nie odezwał. W przyległym pokoju rozwarła się okiennica pchnięta z tyłu, a drzwi wewnętrzne stanęły otworem.

— Jeszcze jakiś podkomisarz przyjechał tutaj z przyjaciółmi—pomyślałem. Teraz, przez godzinę conajmniej trwać będzie gawęda, palenie i plucie. Lecz cóż to? Nic nie słychać! Nikt nie wstawia bagaży, nie słychać zupełnie kroków. Drzwi się zamknęły, a ja dziękowałem Opatrzności, że zostawiono mnie w spokoju. Byłem jednak zaciekawiony, co się stało z lektykami. Usiadłem na łóżku i spojrzałem w mrok. Naraz dobiegł moich uszu dźwięk, co do którego człowiek przy zdrowych zmysłach nie może mieć wątpliwości: był to odgłos kuli bilardowej, toczącej się wzdłuż bandy, gdy gracz zrobił pewny rzut.

Po jakimś czasie potoczyła się druga kula. Przymknąłem oczy i nakryłem się kołdrą.

Jeszcze chwila, a usłyszałem wyraźny karambul na bilardzie i włosy stanęły mi na głowie.

Błędem jest wyrażenie że włosy *wstają*—nie!— to skóra się kurczy i cierpnie. Rozległo się ponowne toczenie kuli po suknie. Rozważałem tę okoliczność przez czas dłuższy. Nie to nie było nic innego. I w miarę tego, jak się zastanawiałem, coraz mniej wydawało mi się prawdopodobnem, aby łóżko, stół, i dwa krzesła stanowiące całe umeblowanie sąsiedniego pokoju, mogły tak dokładnie naśladować odgłosy kuli.

Po jeszcze jednym potrójnym karambolu o bandę, nie rozumowałem już dalej. Znalazłem mego ducha i oddałbym wszystko by módz się stąd wydostać. Tymczasem partja szła w najlepsze. Bile toczyły się i opadały. Bezwątpienia, w sąsiedztwie grano w bilard, choć w szczupłym pokoju, stanowczo nie było miejsca na stół bilardowy.

Nawet podczas krótkich chwil, gdy podmuchy wiatru cichły, słyszałem toczenie się kul. Wmawiałem w siebie, że to wszystko dzieje się w mojej imaginacji.

Czy wiecie, co to jest trwoga? Nie ta zwyczajna będąca następstwem złorzeczeń, straty, lub śmierci, lecz trwoga nikczemna, przejmująca dreszczem, który sprawia, że w gardle zasycha, a język drętwieje. Tak, trzeba tego doświadczyć, aby módz to należycie określić.

W tym wypadku owa gra w bilard w „dâkbungho'wie" przecząca wszelkiemu prawdopodobieństwu, mówi sama za siebie.

Systematyczne zwiedzanie stacji indyjskich wyrabia w ludziach kardynalną wadę — pobudza ich do łatwowierności. Powiedzą ci naprzykład: w sąsiednim pokoju leży trup, dalej siedzi obłąkana dziewczyna, albo mężczyzna ten i kobieta uciekłszy z miejsca zamieszkania o sześćdziesiąt mil odległego przybyli tu na wielbłądzie—uwierzysz bez wahania.

Ale dla mnie niezbitym było faktem, że słyszę uderzenia kul, długą rozgrywającą się partję bilardową tuż za drzwiami opatrzonemi żelazną sztabą. Szczególniej trawiła mnie obawa, że gracze potrzebować będą markiera. Teraz dopiero uświadamiam sobie, jak dalece trwoga ta była niedorzeczna, istoty bowiem, które tak potrafiły grać pociemku, obejść się mogły bez usługi. Wówczas jednakże drżałem ze strachu, a strach ten był rzetelny.

Wreszcie po dłuższym czasie gra się skończyła i wrota się zatrzasnęły, ja zaś zasnąłem śmiertelnie wyczerpany. Kiedyindziej wolałbym czuwać. Obecnie oddałbym raczej całą Azję, ani-żelibym się odważył otworzyć drzwi sąsiednie i wejrzeć w ciemność. O świcie zadecydowałem, że postąpiłem właściwie i począłem czynić przygotowania do wyjazdu.

— Ale, ale „khansamah", rzekłem, co znaczyły owe trzy lektyki na dworze, nocy dzisiejszej.

Wszedłem do przyległego pokoju, zalanego strumieniami światła. Byłem odważny. W tej chwili nie wahałbym się stanąć oko w oko, z samym nawet szatanem.

— Czy dawno już egzystuje tu stacja pocztowa — spytałem.

— Bynajmniej — brzmiała odpowiedź — dziesięć, czy dwanaście lat temu, nie pamiętam dokładnie kiedy, był tu bilard.

— Co takiego? —

— Bilard dla sahibów, którzy budowali drogę żelazną.

Służyłem wówczas obok w domu, gdzie mieszkali sahibowie, kierujący robotami.

— Te trzy pokoje stanowiły jeden, w środku zaś stał duży stół do gry. Teraz wszyscy są już w grobie, kolej zaś dochodzi aż do Kabulu.

— Czy przypominasz sobie cośkolwiek o sahibach—badałem dalej. (dok. nast.).

Przełożyła *Ad. Z.*

RUDOLF BAUMBACH

„NIEMA TO, JAK DAWNE CZASY!"

Bajarze i kronikarze
Przedziwne prawią nam dziwy
O starej, żółtej landarze,
Jeżdżącej przez nasze niwy.
Przed każdą karczmą na chwilę
Tłum się wylewał z kolasy,
Dziennie robiono trzy mile —
Niema to, jak dawne czasy!

Gdy nieraz w zadumie rzewnej
Śnił w drodze o łóżku miłem,
Zaburczał pocztyljon gniewny...
Do stu piorunów... zbłądziłem.
Wyjąc tuż wilki, mkną zgrają,
Niema ratunku — wkrąg lasy...
Drżąc, biedne szkapy parskają,
— Niema to, jak dawne czasy!

Inna przyjemność junacka
W tej znów mieściła się grozie,
Kiedy landara znienacka
Z trzaskiem padała w ogrodzie.
Nieraz ku wielkiej radości
Tylko oś pękła kolasy —
Czasem łamano i kości —
Niema to, jak dawne czasy!..

Komu się miejsce udało
Zamówić w stosownej porze,
Ten żegnał rodzinę całą,
Jakby miał jechać za morze.
Dukaty niepostrzeżenie
Zaszywał w pończochy, w pasy,
Krócice chował w kieszenie
— Niema to, jak dawne czasy!

Lecz dom leśnika ponury
Był okropności koroną,
Już podejrzane figury
Wyprzęgły czwórkę zmęczoną.
Szykują dla gościa łóżko,
Z podełba patrząc, dryblasy,
Brr... z pokrwawioną poduszką,
— Niema to, jak dawne czasy!

Bez śladu giną tak goście,
Setka za setką przepada,
Aż ślą siepaczy Ich Moście,
Zdziwieni Panowie Rada
Ci pogrzeb sprawiają społem,
Z leśnika zdzierają pasy,
A potem łamią go kołem —
Niema to, jak dawne czasy!..

Tłum. **Władysław Nawrocki.**

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

CO TO JEST ŻYCIE?

Niema sprawy, któraby tak bardzo interesowała umysł zarówno uczonego, jak i profana, jak pytanie, czem jest życie? Pytanie to stawiała sobie nauka od najdawniejszych czasów, ale pomimo, iż niezliczona ilość filozofów i badaczów dawała najrozmaitsze określenia, mające wyjaśnić, czem jest to pojęcie, wyrażające się we wszystkich językach tak prostym i krótkim wyrazem, a jednak tak zagadkowe, zadawalającej odpowiedzi na to pytanie dotychczas nie mamy. Można zapatrywać się na życie z punktu, jaki sobie kto obierze, zarówno z filozoficznego, jak religijnego, z naukowego czy artystycznego, zawsze pozostaje ono nierozwiązalną zagadką. A jednak nie podlega wątpliwości, iż ze wszystkich sposobów zapatrywania się na tę sprawę, jeden, mianowicie, punkt widzenia przyrodniczy, jedyny, który podlega najradykalniejszym z biegiem czasu zmianom, coraz jaśniej oświetla ten problemat, a jakkolwiek i on sprawy ostatecznie nie rozwiązał, coraz głębiej jednak przenika w istotę zaciekawiającego nas przedmiotu i coraz jaśniej określa, o co właściwie w tem pytaniu chodzi.

Dawne to już czasy, gdy uczeni zapatrywali się na sprawę życia w sposób bardzo prosty, tak mniej więcej, jak zapatrują się na nią i dziś dzieci lub prostacy. Co się porusza, to żyje, co się przenosić z miejsca na miejsce nie może i nawet na dotknięcie nie reaguje, to jest martwe. W owych czasach bowiem nie umiano jeszcze stawiać wprost pytań naturze, zmuszając ją do udzielania bezpośrednio odpowiedzi; nauka doświadczalna jeszcze nie istniała. Nauki przyrodnicze zadawalniały się tylko suchem opisywaniem faktów, wszelkie wyjaśnienia zaś pozostawiały filozofji spekulacyjnej. Z chwilą jednak powstania nauk ścisłych musiało i dawne pytanie, dotyczące istoty życia, odrodzić się w odmiennej szacie. Poczęto odróżniać ważką, dostępną dla zmysłów materję od nie ważkich, nie dających się widzieć ani ująć sił, które poznawać można tylko ze skutków działania. I życie stało się w oczach zwolenników takiego poglądu, swoistą siłą, tkwiącą w organizmach, niedostępną dla naszych zmysłów, a więc nie mogącą być poznaną. Jeden ze zwolenników tej teorji, sławny Berzelius, wziął to niemal za osobistą zniewagę, gdy młody Liebig poddał istnienie specjalnej siły żywotnej w wątpliwość i wykazał, że zjawiska, zachodzące w istotach ożywionych badać i wyjaśniać można tak samo, jak procesy, którym podlega materja martwa. Stopniowo wytworzyły się oddzielne gałęzie nauk, zajmujących się badaniem istoty i rozwoju życia, nie tylko fizjologja, wyjaśniająca doświadczalnie oddzielne procesy, zachodzące w organizmach żywych, embrjologja — badająca krok za krokiem powstanie i stopniowy rozwój oddzielnych osobników żyjących i t. p., lecz przedewszystkiem biologja, starająca się zrozumieć istotę życia jako całość odnośnych zjawisk.

Do czego doprowadziły nas te nauki i czy ostatecznie rozwiązały zagadkę? Nie mamy zamiaru wdawać się tu w wyliczanie i wyjaśnianie całej tej niezmiernie obfitej pełni wiadomości, jakiemi dziś obdarza każdego ciekawego nasza wiedza, dotycząca świata istot żywych. Nie mamy możności nawet w najogólniejszych zarysach zaznaczyć tego, co nauka dziś sądzi o powstaniu życia na ziemi i kolejach dalszego jego rozwoju, ani o powstaniu i rozwoju istot oddzielnych. Zaznaczymy tylko, iż nauka dowiodła, że życie nie stanowi w każdym razie objawu działania jakiejś pojedyńczej siły, na podobieństwo np. siły ciążenia, lecz jest kompleksem mnóstwa najrozmaitszych zjawisk, z których bardzo wiele zbadano i sprowadzono do przyczyn prostszych i zrozumiałych i że do tych oddzielnych zbadanych już zjawisk należą nawet tak bardzo zasadnicze i tak bardzo skomplikowane, jak odżywianie, oddychanie, wzrost i in. Wykazano dalej, iż te zjawiska, nie wyłączając i niedostatecznie zbadanych, mają wspólny podkład, stanowiący przyczynę, odróżniającą materję żywą od martwej a m. wrażliwość tej substancji, która głównie cechuje istoty żyjące, i od której zjawiska życiowe zależą, a którą nazywamy plazmą.

Wrażliwość ta polega na tem, iż plazma, złożona z ciał białkowatych, podobnych do tych, które wchodzą w skład białka jaja kurzego, łatwo podlega zmianom pod wpływem czynników zewnętrznych, np. temperatury, światła, wilgoci, oddziaływania mechanicznego, czy chemicznego i t. p. wraz z nieznaczną nawet zmianą tych czynników stosunkowo szybko kurczy się lub rozszerza, wydziela zawartą w niej wodę lub ją pochłania, ścina się lub rozpływa, przyłącza do siebie inne ciała, lub się rozkłada, słowem reaguje na nie rozmaicie, a znacznie prędzej, niż ciała martwe. Przyczyną tej własności ciał białkowych jest niestałość tych związków chemicz-

nych, w skład ich bowiem wchodzą pierwiastki łatwo się z sobą i z innymi łączące, lecz również łatwo się rozłączające Poza tym jednak ogólnym zarysem przyczyn i skutków, składających się na to, co nazywamy życiem, mamy jeszcze wiele zjawisk życiowych, stanowiących życie duchowe, zwłaszcza organizmów wyższych, bardziej skomplikowanych, niedostatecznie lub wcale jeszcze niewyjaśnionych.

Do najciekawszych zjawisk życiowych należy niewątpliwie rozmnażanie, własność nie istniejąca w świecie materji martwej. Dzięki tej własności istot żywych, życie nie ustaje ze śmiercią osobnika, lecz trwa dalej w pokoleniach następnych w odnowionej niejako postaci. Każdy organizm żywy składa się bowiem z dwu odrębnych części, z których jedna jest zaczątkiem nowych istot, nowych pokoleń i odłączywszy się od dojrzałego organizmu tworzy nowe osobniki, a z nich przechodzi znów w dalsze pokolenia, istniejąc wciąż wiecznie bez przerwy. Jest to więc część nieśmiertelna, nie umierająca śmiercią naturalną i zginąć może tylko wskutek jakiegoś nienormalnego przypadku, katastrofy, śmiercią gwałtowną. Część druga, w wyższych organizmach ilościowo masą swoją znacznie przeważająca pierwszą, jest niejako tylko częścią dodatkową, służącą dla zabezpieczenia i ochrony pierwszej, dla jej odżywiania, dla przenoszenia jej z miejsca na miejsce i t, d. Organizmy najniższe składają się głównie tylko z pierwszej części. Wyższe, a między nimi i człowiek, stanowią pewne połączenie tych najniższych organizmów jednokomórkowych, tworzą niejako społeczeństwo z nich złożone i rządzone wspólną zasadą. Jaka to jest owa zasada, łącząca proste organizmy w tak skomplikowaną całość i rządząca nimi? Kto jest władcą tego społeczeństwa i dlaczego utrzymuje on ład i porządek w nim tylko do pewnego czasu, a następnie pozwala odłączyć się tylko niektórym osobnikom dla utworzenia nowego społeczeństwa, skazując dawniejsze na zagładę? Do niedawna panujący w nauce pogląd materjalistyczny, z jego głównymi przedstawicielami w osobach Moleschotta, Karola Vogta, Büchnera i innych, upadł głównie dlatego, iż na to pytanie odpowiedzi znaleźć nie umiał. Czy nowszy kierunek, który obecnie w nauce zapanował, pytanie to rozwiąże, tego obecnie wprawdzie przesądzać nie można. Dane dzisiejszej nuki nie dają dotychczas wielkiej w tym kierunku nadziei. To co nauce w przedmiocie tym wiadomo i co w niedalekiej przyszłości wyjaśnione prawdopodobnie zostanie podamy czytelnikom w innym artykule. Do całkowitego jednak odsłonięcia tajemnicy, okrywającej tę sprawę, jak się zdaje, jeszcze nam dość daleko.

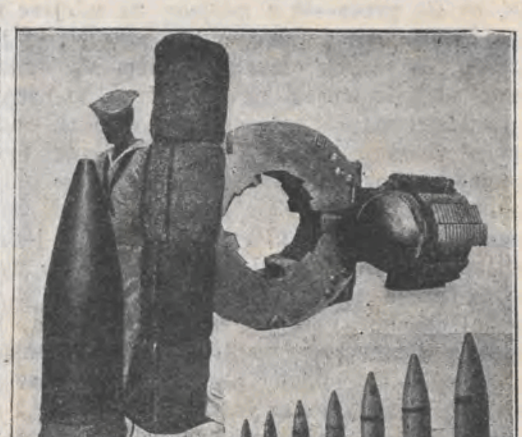
M. Heilpern.

Nowoczesna artylerja okrętowa.

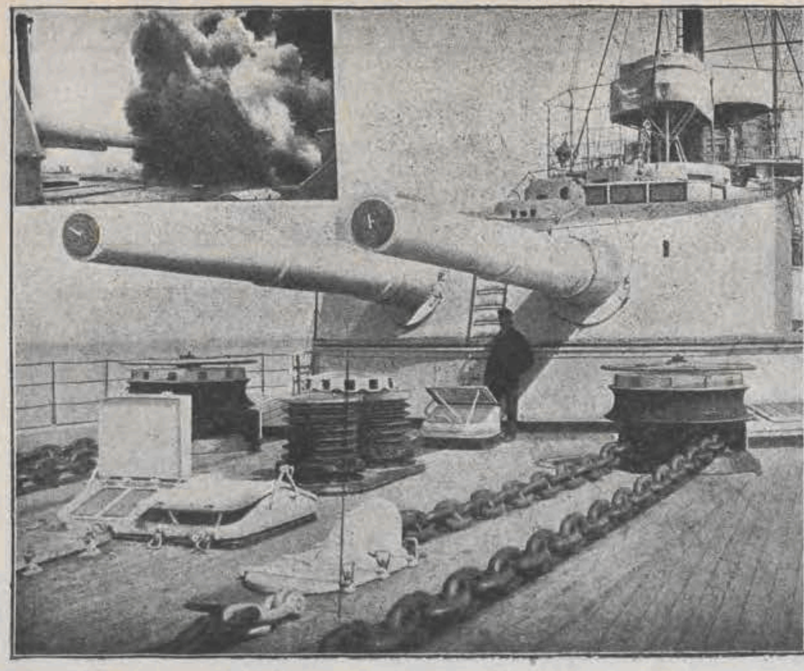
Najważniejszą częścią uzbrojenia dzisiejszych okrętów wojennych, krążowników, a zwłaszcza pancerników, są niezwykłej wielkości potężne działa, o których pewne wyobrażenie dać mogą nasze rysunki. Jak wiadomo, państwa prześcigają się wzajem w budowaniu coraz większych pancerników z coraz dalej niosącemi działami. Granice pewne tym wyścigom stawia tylko niezmierny koszt, miljony rubli wynoszący, zbudowania takiego okrętu, zwłaszcza tej wielkości i z temi urządzeniami, jakiemi odznaczają się najnowsze tego rodzaju olbrzymy, t. zw. dreadnoughty. Z tego powodu każde państwo jakkolwiek stara się zbudować podobny kolos większy od wszystkich posiadanych przez inne mocarstwa, to jednak zarazem dokłada wszelkich starań aby nie przekroczyć pewnych koniecznych rozmiarów i nie stracić w ten sposób niepotrzebnie jakichś setek tysięcy rubli, za które można zbudować inne, mniejsze okręty, wzmagające liczebność floty wojennej. W tem obliczeniu ważną rolę odgrywa dalekonośność torpedowców; chodzi mianowicie o to, aby kule dział budowanego pancernika



Przyjmowanie amunicji na pancernik.



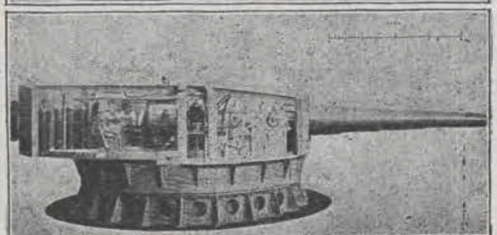
Nabój, materjał wybuchowy, przecięcie lufy, zamek działa 35,6 cm. (13½ cal.). Niżej — porównawcza wielkość naboi kalibru 12,7 cent. do 35,6 cent.



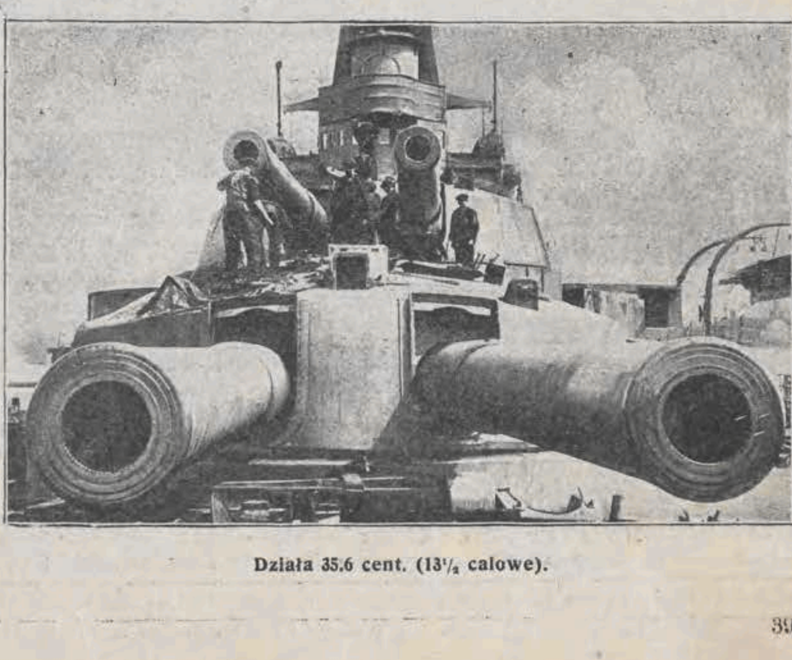
Działo szybkostrzelne 28 cm. w wieży dwupiętrowej (z r. 1909), na okręcie.
Wyżej: Działo szybkostrzelne 28 cm. w chwili strzału danego nad pokładem.

niosły dalej aniżeli nieprzyjacielskie torpedy. W ten sposób zaoszczędzić można na grubości pancerzy okrętowych. Gdy w r. 1899 ciężkie granaty dział pancernikowych niosły na 4000 metrów, w r. 1910 przebiegały już przestrzeń prawie 2 razy większą; dzisiejsze torpedy niosą na 6000 metrów. Największą flotę wojenną posiada dziś, jak wiadomo, Anglja, zarówno pod względem liczby okrętów, jak i potęgi zbrojących je dział, wśród których przeważają 15-to, 23,4-o i 30,5 centymetrowe, posiadając jednak i 34,3 centymetr. z Anglją starają się rywalizować Niemcy, dążąc w pierwszym rzędzie do zwiększenia liczby okrętów średniej wielkości, kosztem nawet wielkości dział, które doprowadzono tylko do 17-o i 28-o centymetrowych (średnica światła lufy). Stany Zjednoczone Ameryki Północnej posiadają nawet działa 35,6 cm. Ważniejsze z tych olbrzymich dział angielskich i niemieckich wraz z ich wieżami, w których się mieszczą i maszynami do ich poruszania i ustawiania, przedstawiają właśnie rysunki oboczne.





Wyżej: Działo szybkostrzelne 30,5 cm. w wieży dwupiętrowej (z r. 1911).
Niżej: Działo szybkostrzelne 28 cm. w odsłoniętej dwupiętrowej wieży (z r. 1904).



Działa 35.6 cent. (13¼ calowe).

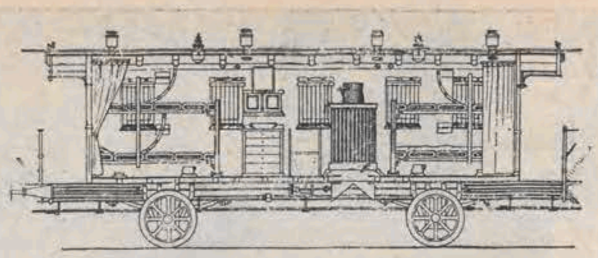
Przewożenie rannych.

(Rysunki № 1 i 2 patrz str. 40.).

Poważną troską chirurgji wojennej stanowi dogodne, możliwie bez wstrząśnień, a szybkie przewożenie rannych do lazaretów i jaknajprędsze odwożenie wyleczonych w celu zyskania miejsca dla nowoprzybywających. Stosowane dziś w tym celu karetki sanitarne (rys. 1) i lazaretowe wagony kolejowe (rys. 2) nie pozostawiają już niczego do życzenia, zarówno, jak i same lazarety i szpitale dla ciężej chorych, zaopatrzone we wszelkie środki, zalecane przez wiedzę nowoczesną. Zwiedzając te ostatnie, urządzone nieraz z komfortem, nie zdajemy sobie zazwyczaj sprawy, ile cierpień przejść muszą ciężko ranni, zanim z pola bitwy, przez owe pośrednie stacje opatrunkowe, pałatki, lazarety operacyjne, wreszcie się do nich dostaną i o ile różne i cięższe zadanie ma *chirurgja polowa*, o której w jednym z poprzednich numerów pisaliśmy, od właściwej *chirurgji wojennej*, mającej swe siedlisko w stałych szpitalach, w których leczenie odbywać się już może systematycznie i racjonalnie. Życzyćby jednak należało, aby jaknajrychlej nastąpił czas, w którym, wskutek zaniechania bratobójczych walk i te tak wzorowo urządzone zakłady stałyby się zbyteczne.



Rys. 1. Karetka sanitarna do przewożenia rannych.



Rys. 2. Lazaretowe wagony kolejowe do przewożenia rannych.

Studja fotograficzno-fizjonomiczne.

Wiadomo, że mózg nasz składa się z dwu połów; prawa półkula mózgowa rządzi lewą połową naszego ciała, z którą jest połączona nerwami, lewa zaś półkula mózgowa, naodwrót, rządzi prawą połową ciała, gdyż wychodzące z niej nerwy, krzyżując się z nerwami prawej połowy mózgu, łączą się z organami prawej części ciała. Lewa połowa wielkiego mózgu jest przeważnie siedliskiem funkcji duchowych, przynajmniej najważniejszych i dlatego ruchy, wywołane temi funkcjami, wykonywują organy prawej połowy ciała, głównie ręka prawa. W lewej też półkuli mózgu winniśmy szukać ośrodka mowy naszej i zdolności pisania czy rysowania. Nawet zewnętrznie zauważyć się daje u większości ludzi pewna przewaga lewej półkuli, a stąd i lewej połowy twarzy. Badacz Hallervorden starał się to wykazać za pomocą fotografji. Czytelników naszych niewątpliwie zainteresują z tego powodu odnośne obrazy fotograficzne, otrzymane przez innego badacza, Wolf Czapeka, które tu podajemy. Osobę badaną fotografowano en face przy zupełnie równomiernem ze wszystkich stron oświetleniu. Następnie otrzymany portret głowy dzielono wzdłuż przez środek nosa na dwie zupełnie równe połowy i zestawiano z kilku odbitek jednakowych dwie połowy głowy w ten sposób, że obie stanowiły prawą, lub obie lewą połowę twarzy i porównywano tak otrzymany obraz z obrazem nierozciętym. Na naszym rysunku mamy odbitkę tak otrzymanych portretów: po środku fotografję głowy normalnej nie rozciętą, na lewo portret głowy, złożony z dwuch połówek prawych twarzy, na prawo zaś portret, złożony z dwu połów lewych. Zarówno pod względem wymiarów, jak i wyrazu twarzy można wyraźnie skonstatować dość znaczne różnice i łatwo zauważyć, że obraz twarzy, złożony wyłącznie z lewych połówek wywiera duchowo silniejsze wrażenie, niż portret tejże osoby, złożony z prawych połówek jej twarzy.



Portret z dwuch prawych połówek głowy. — Normalny, nie rozcinany portret głowy. — Portret z dwuch lewych połówek głowy.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ. Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 k. **Reklamy**—40 k. **Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki**—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa." Redaktor **Feliks Kwaśniewski**. Kierownik liter. **Wacław Grubiński**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.



KS. JÓZEF PONIATOWSKI

RYS. PARIZEAU RYT. BADOUREAU

DODATEK do № 1 „ZŁOTEGO ROGU" — R. 1913.